

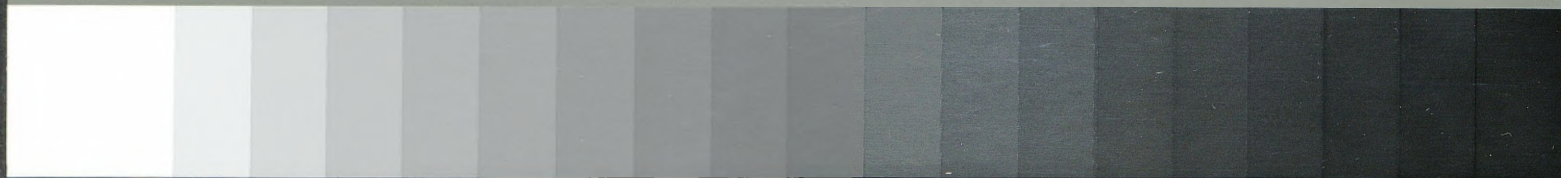


Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



BIBLIOTECKA PORADNI DYDAKTYCZNO-WYCHOWAWCZEJ
PRZY KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO WILEŃSKIEGO
POD REDAKCJĄ DR. WŁADYSŁAWA ARCIMOWICZA

*Pomoc dla nauczyciela realizującego
program publicznej szkoły powszechnej
na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie*

Nr. 3.

POWSTANIE LISTOPADOWE W WILNIE I NA WILEŃSZCZYŹNIE

OPRACOWAŁ
KAZIMIERZ BIELIŃSKI

W I L N O 1 9 3 4

NAKŁADEM DZIENNIKA URZĘDOWEGO KURATORJUM OKR. SZK. WILEŃSKIEGO
BEZPŁATNY DODATEK DO Nr. 6—7 DZIENNIKA URZĘDOWEGO K. O. S. WIL.



BIBLIOTECKA PORADNI DYDAKTYCZNO-WYCHOWAWCZEJ
PRZY KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO WILEŃSKIEGO
POD REDAKCJĄ DR. WŁADYSŁAWA ARCIMOWICZA

*Pomoc dla nauczyciela realizującego
program publicznej szkoły powszechnej
na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie*

Nr. 3.

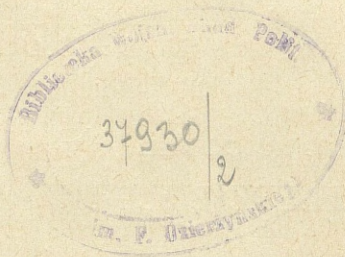
POWSTANIE LISTOPADOWE W WILNIE I NA WILEŃSZCZYŹNIE

OPRACOWAŁ
KAZIMIERZ BIELIŃSKI

W I L N O 1 9 3 4

NAKŁADEM DZIENNIKA URZĘDOWEGO KURATORJUM OKR. SZK. WILEŃSKIEGO
BEZPŁATNY DODATEK DO Nr. 6—7 DZIENNIKA URZĘDOWEGO K. O. S. WIL.

934030/2 : 355 31 (438)



I. OGOLNY RZUT OKA NA POWSTANIE LISTOPADOWE NA LITWIE.

Powstanie listopadowe nie dało się zamknąć—wbrew woli Chłopickiego—w ciasnych ramach Królestwa Kongresowego,—rozlało się ono poza Bug i Niemen, przekreślając sztuczne ramy układów wiedeńskich, w które chciano wtłoczyć żywy organizm Narodu.

I tego właśnie wróg najbardziej się obawiał. Nie spodziewał się on, że Litwa ośmieli się porwać do walki orężnej wspólnie z Koroną.

Powstanie Litwy paraliżowało i wniwecz obracało pierwotne plany Dybicza, a wałną było pomocą powstaniu Królestwa, w jego pierwotnym stadium organizacyjnym, gdyż odciągało znaczną ilość wojsk rosyjskich z terenów Królestwa włąb terytorjum litewskiego i przecinało drogi komunikacyjne i aprowizacyjne głównej armji rosyjskiej w Królestwie, zostawiając ją bez możności zaopatrzenia się na wrogiem jej terytorjum. Na tem między innemi polega ogromne znaczenie powstania litewskiego. Powstanie Litwy umożliwiło Królestwu prowadzenie prawie że całorocznych zmagañ orężnych z niezaprzeczalnie zasobniejszym przeciwnikiem.

Nie odrazu jednak do wybuchu orężnego na Litwie przyszło. Nie było tu żadnej organizacji, któraby poczyniła jakieś przygotowania do akcji zbrojnej. W drugiej połowie grudnia i w pierwszych dniach stycznia 1831 r. zaczynają zjeżdżać na Litwę emisarjusze rządu warszawskiego, aby przygotować grunt do przyszłej akcji zbrojnej. Wybór odpowiedniego czasu pozostawiono do uznania wileńskiemu tajnemu Komitetowi Naczelnemu, który miał obmyśleć plan ogólnego działania i wyznaczyć termin rozpoczęcia kroków zaczepnych.

Władze rosyjskie, czując, że w kraju coś źle zaczyna się dziać, że nie pomaga ani ogłoszenie stanu wojennego, ani wywiezienie wybitniejszych, a mniej pewnych osobistości, postanowiły chwycić się środka radykalnego—nakazać ogólny pobór.

I jak w trzydzieści dwa lata później, tak i teraz rezultat był

wręcz odwrotny. Na Żmudzi, gdzie zaczęto przeprowadzać pobór, przyszło do najwcześniejszych starć orężnych.

Za przykładem Żmudzi poszły inne powiaty Wileńszczyzny. Powstanie wymknęło się z pod kierownictwa niezdecydowanego Komitetu Centralnego. Komitety powiatowe zaczęły działać na własną rękę.

Za punkt kulminacyjny powodzenia powstań litewskich można uważać czas mniej więcej od ostatnich dni marca do 18 kwietnia. Później Rosjanie, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, a doceniając lepiej rolę powstania listopadowego, niż to uczynił rząd warszawski, postanowili za jednym zamachem zgnieść powstanie, nie żałując na to ani środków materialnych, ani ludzi. Dybicz postanowił rzucić na Litwę do 30,000 żołnierzy, aby przełamać ten wał zbrojny, który oddzielał armję od ziem rosyjskich nieprzebytym kordonem, pozostawiając jej środki aprowizacyjne w próżni, lub uzależniając je od dobrej woli Prus. Sam car Mikołaj wraz ze sztabem osobistym pod kierunkiem hr. Czernyszewa zajął się opracowaniem planu działań wojsk, które teraz dążyły na Litwę. Polegał on na obsadzeniu ważniejszych punktów jak: Wilna, Kowna, Wiłkomierza silniejszymi oddziałami stałemi i marszach dekoncentrycznych lotnych oddziałów wzdłuż ważniejszych dróg. Zadaniem oddziałów lotnych było niszczenie baz operacyjnych powstańców i rozpędzenie ich pomniejszych oddziałów. Plan ten miał wypełnić generał-gub. wileński Chrapowicki z chwilą nadejścia znaczniejszych wojsk rosyjskich.

Dzień po dniu zaczęły napływać do Wilna nowe oddziały wojsk rosyjskich. Potem ruszyli w myśl planu cesarskiego poszczególni dowódcy w różne strony: Sulima, Malinowski i Offenberga na Żmudź, Chyłkow do Święciańskiego, gen. Otroszczenko miał uspakajać powiat wilejski i osłaniać Mińszczyznę od oddziałów powstańczych. Dla wypadków doraźnych miał gen.-gubernator do rozporządzenia pułki kozackie pod Werzelinem, Bolcentalem, lub piechoty pod Kragelskim, Renne'm i innymi.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Powstańcy zaczęli ponosić klęskę po klęsce. W ręce Moskali wpadły większe miasta jak: Wiłkomierz, Telsze, Rosienie, a fabryka prochu i armat w Retowie i Worniach została przez Szirmana zniszczona 15 maja. Przez to powstańcy zostali pozbawieni jedyne go źródła dostaw, zakrojonego na szeroką skalę, a zaopatrującego ich w proch i broń, gdyż dowóz z Prus teraz prawie ustał zupełnie.

Po ostatnich próbach działania większymi masami pod Prysto-

wianami i Bejsagołą (4 maja) powstańcy przyszedli do przekonania, że w otwartym polu armii regularnej nie sprostają. Po rezygnacji Żaluńskiego z naczelnego dowództwa, powstańcze oddziały rozeszły się do swych powiatów macierzystych, prowadząc dalej wojnę partyzancką, a choć nie dawała ona bardziej efektywnych rezultatów, jednak była nużącą dla Rosjan. Mimo to przewaga techniki robiła swoje.

Powstanie pod koniec maja kryło się przeważnie po lasach i bagnach, a na Żmudzi, w tej kolebce ruchu wyzwolenieckiego, przeżywało agonję. Dopiero przyjscie z Wilna oddziału akademickiego w lasy rudnicko-olkienickie wprowadziło ożywczy ferment w powiaty południowe, doprowadzając do kilku krwawych i pomyślnych potyczek.

Inne powiaty na południo-zachodzie do porwania za broń pobudziła wieść o dążącym wojsku polskim. Echa tej wieści szybko obiewały Litwę, roznosząc sławę polskiego wodza, który, idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, zbliżał się do Wilna. Lecz i on miał za małe siły, by samodzielnie się kusić o opanowanie grodu Giedyminiowego. Dopiero wkroczenie kolumny Giełguda zdawało się urzeczywistniać zdawna oczekiwane marzenia Litwinów.

Jednak nadzieje zawiodły.

Niepowodzenie pod Ponarami podkopało zaufanie tak w żołnierzu do wodza jak i w społeczeństwie do całej akcji, nakłaniając co słabsze charaktery do uległości, lub jawnego przejścia na stronę Rosjan. A choć wprawdzie i później nie brak było świetnych momentów czynu zarówno oręża wojsk polskich jak i oddziałów powstańczych, były to raczej już tylko blaski rzucone przez słońce zachodzące za czarną chmurę niewoli.

II. POWSTANIE ŻMUDZI *).

Żmudź granicząc z jednej strony z Prusami z drugiej zaś z Kurlandją i morzem Bałtyckiem łatwiejszy dostęp miała do świata, to też szybciej tu dochodziły wiadomości z Królestwa. Już w pierwszej połowie grudnia miano wieści o powstaniu Warszawy, a gorączkowy

*) Żmudź była tą kolebką walki orężnej, gdzie najpierw krew się ofiarowała, co wpłynęło na decyzję sąsiednich powiatów. Dlatego to nie można pominąć powstania Żmudzi mówiąc o powstaniu na Wileńszczyźnie.

ruch garnizonów moskiewskich utwierdził mieszkańców w prawdziwości tych doniesień. Brak jednak bliższego kontaktu z Warszawą, a zwłaszcza z jej sferami organizującymi powstanie dał się teraz dotkliwie odczuć. Społeczeństwo nie było przygotowane do tego wydarzenia. Narazie zajęto stanowisko wyczekujące. Chciano do czekać się jakiegoś konkretnego hasła z Warszawy, lub chociaż z Centralnego Komitetu Wileńskiego. Nie wierzono początkowo w powstanie o własnych siłach. Sądzone, że ukrytym motorem, który spowodował wybuch Nocy Listopadowej są państwa zachodnie, a zwłaszcza Francja i że lada dzień należy się od nich spodziewać pomocy—gdzieś od strony Połagi; wierzono, że przynajmniej lada dzień przybędą z Królestwa zwycięskie wojska polskie i przy ich wsparciu kraj cały porwie się do broni. Jednak nie były to czynniki jedyne decydujące o ociąganiu się Żmudzi. Niemniej ważką przyczyną był realny pogład na stan rzeczy w danym momencie.

Gdy w grudniu chwila do powstania była odpowiednia, to nie było wtedy ku temu jeszcze ani środków, ani organizacji. Zmienił się ten stan rzeczy z chwilą, gdy przez terytorja Litwy i Żmudzi zaczęły przeciągać pułki armji Dybicza, zmierzające ku granicom Królestwa. Należało ten czas przeczekać, poświęcając go na organizację społeczeństwa i środków materialnych, a z chwilą, gdy w kraju pozostaną tylko komendy inwalidów, wznieść sztandar powstania. Tej też taktyki trzymała się Żmudź. Do połowy lutego w całym kraju panował pozorny spokój. Wreszcie Rosjanie postanowili sami przyczynić się do wzmożenia niezadowolenia wśród najszerzych warstw społeczeństwa.

Surowe rozporządzenia władz administracyjnych i wojskowych, składanie wszelkiej broni do kos włącznie, uciążliwe nakazy aprowizacyjne, werbunkowe, a wkońcu słynny manifest cara—były tą oliwą, co podsycala w piersiach Żmudzinów ogień tlejącego buntu. Umiejętnie to wyzyskali przywódcy ruchu narodowego, a wieści nadcho dzące z pola walk w Królestwie rozżarzały i tak podniecone umysły młodzieży.

Postanowiono, nie oglądając się na pomoc obcą, powstać o własnych siłach. Zwrócono się raz jeszcze do Komitetu Wileńskiego po dyrektywy; stamtąd znów zalecono wyczekiwanie. Ludność wiejska zbliżona bardziej psychicznie do typu—motorycznego, niż analitycznego, miała dość zwłoki. Tu i ówdzie porwano za broń, a chociaż pierwsze oddziały chłopskie pod wodzą Giedryma i Borysewicza, z parafji Gien-

tyliskiej i Sałantskiej nie odniosły większych rezultatów i musiały wycofać się poza granicę pruską, to jednak w niemałym stopniu przyczyniły się do przyspieszenia powstania. Car Mikołaj bowiem, zaniepokojony ruchem w pow. telszewskim, postanowił wysłać na miejsce komisję śledczą pod kierownictwem osobistego adjutanta barona Manteuffla i pułk. Kochowskiego. Środkiem, zapewniającym posłuch ich werdyktom, miał być pułk. Bartholomei, który z bataljonem piechoty, 4 działami i kilkuset kawalerji miał dążyć za nimi. Ta okoliczność, oraz wyznaczenie ostatecznego terminu rekrutacji na dzień 27 marca były bezpośrednim powodem powstania. Postanowiono wyprzedzić zamierzenia władz rosyjskich. Ludność wieśniacza, wyczuwając, iż zanosi się na ogólne powstanie, a widząc zarazem słabość władz w danym momencie, rzuciła się do odbijania rekrutów.

Tego wydarzenia nie mogła pominąć szlachta. Postanowiła poprzeć spontaniczny ruch włościański, a przypadkowa okoliczność— wieść o aresztowaniu w Libawie Ezechjela Staniewicza—przyspieszyła jej decyzję. Dnia 26 marca obywatele powiatu rosieńskiego: Józef Rymkiewicz, Julian Gruzewski, J. i Z. Staniewiczowie, D. i S. Kalinowscy i inni, uzbrojwszy naprędce swych ludzi, wkroczyli do Rosień.

Zwycięstwo było kompletne, a radość mieszkańców wielka. Dowódcą powiatowej siły zbrojnej został Dobrosław Kalinowski, a na czele rządu cywilnego stanęli J. Rymkiewicz, J. Gruzewski i J. Staniewicz. Z chwilą przybycia Ezechjela Staniewicza prezesura przeszła w jego ręce.

Wieść o powstaniu rosieńskim była tą iskrą, która zelektryzowała inne powiaty. Pozostać w tyle? Na to nie mogło pozwolić zarówno gorące uczucie patriotyczne jak i ambicje lokalne. To też w dwa dni później powstają Telsze. Tu jawny ruch w powiecie rozpoczął dnia 27 marca Józef Surewicz, jednak do ataku na Telsze przyszło dopiero dnia następnego przy współudziale D. Dowbora, J. Tomkiewicza i innych. Miasto zostało zdobyte, a Manteuffel i Kochowski szukali ratunku w ucieczce. W ręce zwycięzców wpadło około stu karabinów, kilka tysięcy ładunków i kilkudziesięciu jeńców; jak na początek była to zdobycz znaczna.

Dowództwo siły zbrojnej spoczęło na O. Jacewiczu, rządy cywilne przeszły w sędziwe ręce Włodzimierza Gadona, który całe swe życie spędził w służbie dla Ojczyzny. Rozentuzjasmowane zwycięstwem tłumy pociągnęły do kościoła, by w modłach dziękować Stwórcy za pomyślny początek sprawy narodowej, a zarazem złożyć ślubowanie

na wierność powstaniu. Wślad za nimi poszły pozostałe powiaty Żmudzi.

Przyjrzyjmy się, o co one będą prosić w swych modłach Przedwiecznego. Czy ich nienawiść pchnęła na tę drogę „szaloną”? Czy będą zemstę zaprzysięgali swym wrogom? Chyba nienawiść nie zdołą będzie się na taki ton, jaki rozbrzmiewa w uchwale powiatu rosieńskiego:

„1-o Nie mamy żadnej nienawiści do Rosjan, których i owszem znając palających, tako, jako i My, żądamy wolności, kochamy jako jedнопlemienne z nami pokolenie i osiągnięcie tejże wolności im życzymy;

2-o Walczymy i walczyć do upadłego będziemy przeciwko samowładztwu Rosji, jedynie dla skruszenia kajdan niewoli naszej, i dla utrzymania swobody żyć i umierać pod panowaniem prawa i sprawiedliwości służących dla wszystkich Stanów, Wyznań i Mieszkańców ziemi naszej”.

Czyż te słowa potrzebują komentarzy?

Powstanie żmudzkie i wogóle litewskie, było dziełem miłości. Miłości wspólnej sprawy, wspólnej Ojczyzny, co z piersi chłopów żmudzkich wyrwało piosenkę:

„Dabar Lenkay neprapule
Kal Žemaytiay giwi!
Kad wysi pri gienkla pule
Tad yr bus szcietliwi.
Lenkay, Lijtuway, Žemaytiary, draugibio,
Kayp wysada buwom, Tayp busem
wyrymbio”

Jeszcze Polska nie zginęła,
Gdy Żmudzini żyją!
I Żmudź walkę rozpoczęła,
Gdy się w Polsce biją,
Polacy z Rusią ze Żmudzią i Litwą
Wywalczą swobodę tak świętą bitwą.

*

*

Kaktas musu ne bus skustas
Ney žwangins gielžyniai!
O Sybiras wysad pustas
Neb gražos minijary!
Wysi wira eykiem newele numesti,
Nepretieli musu, pakarop dawesti.

Łby nie będą nam golone,
Ni w kajdanach brzęku
Na Sybir tłumy pędzone
Wśród płaczu i jęku!
Kto żyje, ruszaj, czas zniszczyć niewolę,
Niżli wrogom ulec, umrzeć wolę.

III. POWIAT OSZMIŃSKI.

Początki ruchu dadzą się zauważyć już w styczniu 1831 r., gdy obywatelstwo zaczęło się zjeżdżać do Olan na narady z Porfirym Ważyńskim. Na czoło akcji chciano wysunąć marszałka powiatowego hr. Józefa Tyszkiewicza, który jednak zbytnio nie kwapił się z przyjęciem godności przywódcy. Jednak nie wszyscy byli tak oględni, większość żądała natychmiastowej akcji. Takie to wieści o nastrojach w powiecie przywiózł do Wilna w ostatnich dniach marca Ignacy Klukowski.

Jednak nieprzewidziane wypadki przyspieszyły wybuch powstania. Rosjanie, wyczuwając, iż nastrój w powiecie jest niepewny, chcieli wywieźć zarekwirowaną broń do Wilna, by się nie stała łupem powstańców.

Otóż powstańcy postanowili do tego nie dopuścić i w nocy z 3 na 4 kwietnia zajęli dwie stacje, leżące na drodze z Wilna do Oszmiany: Rukoynie i Kamienny Łuh, odbierając jednocześnie 2 furmanki z wywożoną bronią. Teraz trzeba się było zdecydować na krok stanowczy, gdyż zwlekanie mogło całą akcję w zarodku zniweczyć. Rosjanie i tak już się spodziewali jakichś wypadków i trzymali w pogotowiu swoją załogę, złożoną z 26 ludzi piechoty wielkołuckiego pułku oraz oddziału inwalidów pod kapitanem Dawidem Kryczyńskim w sile 45 ludzi. To też Porfiry Ważyński na czele kilkunastu ludzi o świcie dnia 4 kwietnia przy odgłosie dzwonów rzuca się na arsenał, sądząc, że tam znajdzie zapasy broni, które mu pozwolą uzbroić powstańców. Akcja poszła stosunkowo łatwo, zaskoczenie i wzięcie do niewoli oficerów rosyjskich ułatwiło sytuację. Na rozkaz Kryczyńskiego poddaje się bez boju załoga inwalidów, otwierając zarazem bramy więzienia, gdzie powstańcy zdobyli kilkadziesiąt sztuk broni palnej. Powetowało to im zawiedzione nadzieje co do arsenału, który okazał się pusty. Teraz przed całkowitem wyswobodzeniem Oszmiany należało jeszcze unieszkodliwić ostatnią zaporę—mianowicie załogę piechoty wielkołuckiego pułku, która chociaż pozabawiona oficerów, chciała się jednak bronić. Dało się tę sprawę załatwić polubownie. Powstańcy, nie chcąc przelewać krwi, użyli wpływu komendanta owego oddziału inwalidów, będącego obecnie w ich ręku. Ten po zapewnieniu żołnierzy, iż powstańcy im żadnej krzywdy nie wyrządzą, skłonił ich po pewnem wahaniu do złożenia broni.

Upłynęło zaledwie kilka godzin od rozpoczęcia walki, jednak jakżesz odmiennie wyglądała sytuacja.

Oszmiana była wolna. Oddział powstańczy z liczby kilkunastu urósł prawie do setki osób. W rękę powstańców znalazła się cenna zdobycz: 650 karabinów, 140,000 ładunków, postawy sukna i rozmaity sprzęt wojenny. Była to zdobycz szczególnie cenna dla organizować się mającej siły zbrojnej oszmiańskiej.

Na wieść o tem entuzjazm udzielił się wszystkim mieszkańcom Oszmiany. Złożono przysięgę, iż wszystkie siły się wyteży, by wolność zdobytą ugruntować. Słowa jej brzmiały:

„Ja niżej podpisany, przejęty szczerem uczuciem oswobodzenia siebie i Braci moich Polaków z trzydziestokilkuletniej niewoli despotycznego panowania Rosji, przysięgam Panu Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu o tem: iż stawając w dniu dzisiejszym ku obronie Ojczyzny mojej, nie ustraszając się żadnem niebezpieczeństwem, osobę moją, majątek i to wszystko, co tylko własność moją stanowi, chętnie z wylaniem ostatniej kropli krwi mojej poświęcam. Ustanowionych zwierzchników we wszystkim z największem posłuszeństwem słuchać będę i dane mnie rozkazy z największą skwapliwością wypełniać — powierzonego sekretu w razie potrzeby z poświęceniem życia mojego dochowam, a nie mając w widoku osobistego interesu, lub obrony własnego życia, poświęcę się dobru Ojczyzny mojej, tak uczciwość charakter i sumienia prawego Polaka, oraz miłość Boga i Bliźniego nakazują: na czem, że sprawiedliwie przysięgam tak mnie Panie Boże dopomóż — i jeżelibym w czemkolwiek tą tak świętą i dobrowolną zламаł przysięgę niech mnie otchłań ciemności wieczystej pochłonie”.

W myśl też słów przysięgi zajęto się zorganizowaniem władzy, lokalnej zarówno wojskowej jak i cywilnej. Na wodza siły zbrojnej wysunięto Porfirego Ważyńskiego, dodając mu jako szefa sztabu Kazimierza Rutkowskiego, Wacława zaś Jankowskiego wyznaczono na dowódcę, mającej się tworzyć kawalerji. Te ramy organizacyjne mieli zapełnić ochotnicy wszystkich stanów, spieszący do powstania. Jednak istotną podstawą organizacji siły zbrojnej był nakazany pobór rekruta. Pod broń miała w ciągu 3 dni stanąć cała szlachta od 18 do 60 roku życia. Z ludności wieśniaczej miano tworzyć t. zw. „oddziały linjowe”, stacjonowane w Oszmianie.

Na oddziały te mieli sięłożyć żołnierze, dostarczeni przez szlachtę od każdych 20 dusz po 2 żołnierzy konnych i 2 pieszych. Oprócz tego miała jeszcze istnieć tak zw. wojskowa siła terytorjalna, złożona również z wieśniaków. Oparta ona była o pobór 1 konnego i 3 pieszych żołnierzy od każdych 20 włościańskich dusz. Miał to być rodzaj rezerwy głównej siły oszmiańskiej. Do służby wojskowej zostali wezwani również i żydzi. Mieli oni z każdych 20 dusz wysłać

1 konnego i 2 pieszych żołnierzy, z prawem wyboru własnych oficerów. Uzbrojeniem pożądanem była broń palna, jednak z powodu braku takowej kantonista mógł się stawić w oddziale z piką lub kosą, osadzoną na sztorc.

Teoretyczne obliczenia, oparte na tych właśnie rachubach, mówiły, że powiat powinien w krótkim czasie wystawić kilkunastotysięczną siłę zbrojną. Realizacja tego zależała w znacznej mierze od nowoutworzonej władzy terytorjalnej, t. zw. „regimentarzy”. Powiat został podzielony na 14 dystyktów, na czele których stali owi regimentarze o szerokim zasięgu władzy administracyjno-policyjnej i wojskowej. Na nich rzec można śmiało spoczywała cała machina organizacji powstańczej. Od ich to energii i sprytu zależała organizacja siły zbrojnej terytorjalnej, utrzymania ładu i porządku na danym obszarze i wysłania odpowiedniego kontyngentu ludzi do głównej siły zbrojnej w Oszmianie. A była ona, rzec można, kośćcem całego powstania, bo chociaż potencjalnie przewyższała ją siła zbrojna terytorjalna, to jednak, pozbawiona broni palnej i nie posiadająca wyszkolonych oficerów instruktorów, nie przedstawiała większej wartości bojowej, zwłaszcza w stosunku do wojsk regularnych.

To też szczególną uwagę zwrócono na oddziały w Oszmianie. Zaczynają się one szybciej rozwijać po ostatecznem uporządkowaniu stosunków w Komitecie Cywilno-Wojskowym, co nastąpiło na zjeździe ogólnym odbytym w Oszmianie w dniu 10 kwietnia. Gdy się przekonano, że na hr. Tyszkiewicza liczyć zbytnio nie można, postanowiono władzę cywilno-wojskową oddać Komitetowi w składzie: Ważyński J., Soroka i T. Wańkiewicz, dowództwo zaś nad siłą zbrojną Karolowi Przeździeckiemu. Ten rozkazem dziennym z dnia 12 kwietnia starał się nadać organizacji wojskowej pewien rozmach i planowość, zalecając Ferdynandowi Fitingowowi formować pułk strzelców, oraz innym dowódcom dwa pułki jazdy. Dowódcą I-go miał zostać Ważyński, II-go Józef hr. Tyszkiewicz, dowództwo nad I baonem piechoty zostało oddane w ręce Krzysztofa Skrzydlewskiego. Pozatem były jeszcze oddziały specjalne jak: legion szlachecki i „desperatów”. Zawiazkiem artylerji miały być dwie armatki wykopane na cmentarzu w Rukojniach, gdzie dotychczas spoczywały w ukryciu. Poszczególne te jednostki miały rozrosnąć się z czasem do znacznych rozmiarów. Pułk piechoty miał się składać z 5 kompanij po 300 ludzi każdy, jazdy zaś, z 5 szwadronów po 100 koni każdy. Tej tworzącej się sile zbrojnej, starano się nadać pewien jednolity wygląd. Pozwa-

lały na to częściowo materiały zdobyte na Rosjanach w dniu 4 kwietnia. Jednak całkowicie dało się zaopatrzyć w zielone mundury, czapki i buty tylko jedną kompanję piechoty, gdyż dalszemu swobodnemu organizowaniu się stanęły na przeszkodzie wypadki, jakie zaczęły się szybko toczyć.

Rosjanie z niepokojem patrzyli na szerzenie się powstania w Oszmiańszczyźnie, tembardziej, że powiat ten leżał na trasie komunikacyjnym Wilno—Mińsk. Mógł się on z tego powodu stać ośrodkiem ruchu powstańczego dla sąsiednich powiatów i przenieść je zarówno do Mińszczyzny jak też i do Nowogródziny, co bynajmniej nie leżało w interesie Rosjan. To też gen.-gubernator Chrapowicki postanowił stłumić powstanie, zanim ono skrzepnie na siłach. Do zadania tego przeznaczył dowódcę specjalnego oddziału lotnego, pułk. Werzelina, który stał na czele zbiorowego pułku kozaków liniowych. Rozkazem gen.-gub. z dnia 13 kwietnia zostaje on rzucony na Oszmianę z siłą 300 kozaków, 500 piechoty i 4 dział dla stłumienia powstania, a otrzymane specjalne pełnomocnictwa, dawały mu dużą swobodę działań. O marszu tym wiedziała cała Oszmiana już dnia 14 kwietnia, gdyż wieści wieczorem 13 kwietnia przyniósł Stelnicki, który się cofnął ze swym oddziałem przed nadchodzącym Werzelinem. Miasto zostało poruszone do głębi. Panika, do której w pewnym stopniu przyczynili się niektórzy wojskowi, robiła swoje. Rada wojenna postanowiła jednak przyjąć bitwę i wyjść przed Oszmianę dla spotkania wroga, by ludności cywilnej nie narażać na skutki wojny. Wybrano do tego celu Ukropiszki oddalone o 5 klm. od Oszmiany a nadające się do przyjęcia bitwy z powodu swego obronnego położenia. Wieczorem 15 kwietnia stanęły tam wojska powstańcze pod Przeździeckim w sile 1440 piechoty uzbrojonej w broń palną i 840—w piki, oraz 180 jazdy z 2 armatami. Były to, jak widzimy, znaczne siły, z którymi można było próbować szczęścia w walce ze słabszym znacznie Werzelinem. Jednak Przeździecki otrzymawszy fałszywe wiadomości, że siły jego wynoszą przeszło 5 baonów piechoty, 500 kozaków i 6 dział, nie sprawdzając nawet tej wieści, postanowił opuścić Oszmianę bez boju, cofając się do Krakówki, a sam odjechał do Smorgoń, zostawiając wojsko w krytycznej chwili bez naczelnego dowództwa. Powstańcy postanowili sam się cofać na Żuprany. Po drodze doszły ich od strony Oszmiany echa strzałów armatnich, których naliczyli kilkadziesiąt. Świadczyło to, że musiały tam zajść ważne wypadki. Istotnie, gdy główne siły powstańców cofały

się na Żuprany, w Oszmianie pozostał, jako arjergarda, oddział piechoty Biruli i kilkudziesięciu kawalerzystów pod Stelnickim. Ci, miast się wycofać, postanowili na własną rękę wydać walkę Werzelinowi. Rezultat był łatwy do przewidzenia.

Rosjanie, zatoczywszy 2 działa, dali najpierw kilkadziesiąt strzałów, chcąc tem zdemoralizować powstańców, którzy szczególnie nie lubili ognia artyleryjskiego. Gdy zaś atak kawalerji Stelnickiego został odparty ze znacznymi stratami, wraz z uchodzącym przeciwnikiem ruszyła do ataku piechota rosyjska. Powstańcy, będąc liczebnie słabsi, a nie mając ani artylerji, ani dostatecznej ilości amunicji, cofnęli się do miasta, szukając zasłony w zabudowaniach miejskich. Jednak po pewnym oporze musieli i stąd uchodzić do pobliskiego lasu, zostawiając ludność cywilną na łaskę wroga.

To też skutki były opłakane. Rosjanie rozdrażnieni długim oporem, rzucili się teraz na ludność miasteczka, mordując wiele bezbronných—mienie ich plądrując lub puszczając z dymem. Nie oszczędzono i świątyń Pańskich. Otwarto je, zrabowano a nawet splamiono krwią zamordowanych 7 osób, które w kościołach szukały schronienia. Ogółem padło w tej rzezi koło stukilkadziesięciu osób.

Werzelin sądził, że tym krwawym czynem przerazi innych powstańców i odbierze im na przyszłość chęć stawiania zbrojnego oporu wojskom rosyjskim. Zawiódł się jednak, gdyż wprowadzie rzeź oszmiańska wywarła głębokie wrażenie na terenie całej historycznej Litwy, ale było to wrażenie doznania jeszcze jednej krzywdy i bezprawia. Odpowiedzią na to mogła być tylko chęć odwetu i pozbycia się krwawego najeźdźcy.

Rosjanie po wejściu do Oszmiany zajęli się następnie przywróceniem władz administracyjno-policyjnych oraz zabezpieczeniem traktu komunikacyjnego Wilno — Mińsk. Wyznaczonym został do tego gen.-major Otroszczenko, dysponujący 6 rotami piechoty, pułkiem kozaków i szwadronem huzarów oraz artylerją, złożoną z 6 dział. Oddziały wojska zostały rozlokowane w Oszmianie i jej okolicach, by sprzyjającej powstaniu ludności cywilnej uniemożliwić kontaktowanie się z siłą zbrojną powstańczą, gdyż powstanie po zajęciu Oszmiany w powiecie nie upadło.

Siły główne po naradzie wojennej w Krakówce postanowiły się cofnąć na Wyszniów, by tam się zreorganizować i doczekać pomyslniejszych okoliczności. Jednak nieobecność wodza i wieści o rzezi Oszmiańskiej wywarły demoralizujący wpływ na szeregi powstańcze.

Wśród oficerów zaczęły powstawać właśnie i spory, co odbijało się ujemnie na spoistości oddziałów. To też w drodze zaczyna szerzyć się dezercja. Oddział z 2500 ludzi spada do 1600. Dopiero w Sućkowie duch znów się trochę podniósł, gdy wódz naczelny Przeździecki przybył do swych oddziałów.

Z Sućkowa przez Krewo — wieczorem 21 kwietnia ruszono na Wiszniew. Obronna pozycja i obecność huty żelaznej dawała nadzieję, że wojsko da się należycie zreorganizować i skompletować. Dnia 22 powstańcy stanęli w Wiszniewie. Jednak nie danem im było zaznać zasłużonego wypoczynku. Już dnia 23 musieli ruszyć przed miasto, by spotkać nadciągających Rosjan. Oddział strzelców zakryty krzakami zajął miejsce nad drogą idącą z Wiszniewa, którą mieli nadciągnąć Rosjanie. Po prawej stronie drogi na polu stanęła kawalerja powstańcza, osłonięta dwiema armatami, których wyloty skierowane były na drogę, skąd spodziewano się Rosjan.

Koło godziny 14 wróg ukazał się na drodze. Na czele szła kawalerja w sile 1 szwadronu huzarów i 1 szwadronu kozaków linjowych. Jechali szóstkami w zwartej kolumnie, nie spodziewając się zasadzki. To też gdy zbliżyli się na odległość strzału i zostali przywitani celnym ogniem strzelców, ukrytych przy drodze, rzucili się do ucieczki. Jednak sytuacja się zmieniła, gdy pod majorem Essenem nadciągnęły dwie kompanje jęgrów 11 pułku. Powstańcy zmuszeni byli się cofnąć do Bakszt, a stąd do wioski Rumu nad Iłoczą. Pozycja lesista i bagnista nadawała się do obrony tembardziej, że przejście i mosty zostały przez powstańców poniszczone i obsadzone przez piechotę powstańczą. Nieobsadzona pozostała tylko strona północ-wschodnia w kierunku Wołożyna, gdyż stąd nie spodziewano się wroga. Tymczasem na rozkaz gen.-majora Otroszczenki z d. 27 kwietnia miał właśnie od strony Wołożyna zaatakować powstańców pułkownik Sewastjanow. Wogóle miał to być atak koncetryczny, którego zadaniem było powstańców ostatecznie zgnieść i wytępić. W tym to celu Otroszczenko dnia 28 kwietnia wysłał oddział kawalerji, zmierzający w tymże kierunku, tylko posuwający się z przeciwnej strony przez Traby, Tokarzyszki, Zakowicze, Downary. Wolną drogę na Merliki obsadzili Rosjanie przez 2 rotę strzelców, 2 armaty, 1½ szwadronu ułanów i 80 teptiarców¹⁾. Pierwszy pod Rum dotarł Sewastjanow, który zaatakował strażę powstańcze. Na wieść o tem cały obóz stanął

¹⁾ Nazwa pułku kozaków, będących uprzednio na froncie Kaukaskim.

pod bronią. Kompanja strzelców Pudzinowskiego obsadziła drogę, kryjąc się za groblę, by stąd przywitać ogniem zbliżających się Rosjan. Celny ogień strzelców zmieszał szeregi wroga, raniąc dowódcę pułkownika Sewastjanowa i cały szereg oficerów i żołnierzy. Wszczyła się wśród Rosjan zamieszanie, ale ogień artylerji rosyjskiej zrobił swoje: pod jego osłoną jęgrzy, przerzuciwszy most na Iłoczy, rzucili się z bagnetem w rękę na oddział Pudzinowskiego, biorąc dowódcę ciężko rannego do niewoli. Oddział jego się rozproszył.

Reszta oddziałów powstańczych cofnęła się do Zielonej Puszczy, odstrzeliwując się wrogowi. A chociaż straty powstańców podane przez Rosjan na 200 osób nie odpowiadały rzeczywistości i były znacznie mniejsze, to jednak dzień 30 kwietnia w powstaniu Oszmiańskim można uważać za przełomowy. Zabrakło wiary i ducha w zwycięstwo. Oddziały się rozproszyły, dążąc w rozmaite strony, a choć jeszcze przez kilka miesięcy będą trwały tu i ówdzie walki (np. oddział Paszkowskiego, walczący jeszcze w sierpniu, lub Giedrojcia w okolicach Nalibok — w październiku) to jednak były to raczej już tylko objawy indywidualnego bohaterstwa, nie mogącego zaważyć na ogólnych losach powstania. Bitwę pod Rumem można uważać za moment schyłkowy powstania w powiecie oszmiańskim.

Rzeź Oszmiańska.

Na oszmiańskim kościele,
W drugą kwietną niedzielę,
Dzwon zwoływał na ranne modlitwy.
I lud tłumnie zebrany
Błagał Pana nad Pany
O opiekę dla Polski i Litwy.

W Chrystusowej świątyni
Niemasz stanów różnicy:
Chłop z szlachcicem szedł w jedno
Przy nich żony i matki, [podwoje.
Jak aniołki ich dziatki,
I jak róże dorodne dziewoje.

Kapłan schyłon latami
Przed ołtarza stopniami
Kończył święty obrządek kościoła;
A głos kmiotków i panów,
Przy rozdzwieku organów,
Płynął w niebo na skrzydłach anioła.

Wtem szczęk broni i strzały
Pośród miasta zabrzmiały,
Bruk zatętnił pod koni kopytem.
We drzwiach słychać już krzyki —
I Czerkiesów tłum dziki
Wbiegnął w kościół z kindżatem doby-
[tym.

I oprawcy bez duszy,
Których serca nie wzruszy
Ni płacz dziecka, ni starca włos biały—
Nie spoczęli w swem dziele,
Aże w całym kościele
Trupy tylko w krwi strugach zostały.

Przez niemowląt konanie,
Przebacź zbójcom, o Panie,
Świętokradztwo nad Twoją świątynią!
Bo te cara żołdacy,
Tak jak rzymskich wojsk katy,
Nie wiedzieli bezumni, co czynią.

Ale w sądu godzinie,
Niechaj gniew Twój nie minie,
Niechaj piorun Twój tego ukarze,
Co wypuścił te hordy,
Co nakazał te mordy,
I niewinną się codzień krwią maże!

A wdów starców i dzieci
Rój męczeński niech wzleci,
Obok ofiar pierwszego powstania,
Co pod Rusów żelazem
Za carycy rozkazem
Legły w Pradze i gruzach w Humania!

By ukoić gniew nieba,
Jeśli lackiej krwi trzeba,
Wszak płynęła i płynie obficie.
By zmyć grzechy wieczyste.
Weź i naszą, o Chryste,
Ale matce ojczyźnie wróć życie!

Lud nasz wiernie Ci służy,
Sfolguj, nie karz go dłużej,
Racz usłyszeć pokornych wołanie!
Już to przeszło pół wieku
Polska cierpi i czeka
Zmiłowania Twojego, o Panie.

Konstanty Gaszyński.

IV. POWIAT ZAWILEJSKI (Święciański).

Już z początkiem marca 1831 r. rozpoczął się ruch tajemny w powiecie. Co wybitniejsi a lepsi obywatele powiatu zaczęli się zjeżdżać na tajne narady i zjazdy w Święcianach. Narazie czekano na pomyślniejsze okoliczności, gdyż generał-gubernator wileński pilnie obserwował stosunki w powiecie, a każde nawet drobne zajście miało swój odgłos w Wilnie. Miał czego się troskać Chrapowicki. Wszak wśród powstań, które jakgdyby pierścieniem opasywały stare Wilno od północo-zachodu, aż po krańce południo-wschodnie, nie były zamknięte tylko jeszcze dwa ogniwa: powiat zawilejski i brasławski. Tędy szły wolne drogi na północ, do stolicy carów, tędy można się było spodziewać przybycia posiłków, a w razie konieczności była to jeszcze jedyna droga odwrotu.

Dnia 5 kwietnia raportował gen.-gubernatorowi wileńskiemu komendant placu m. Święcian, ppr. Surkow, iż 4 kwietnia wieczorem rozeszła się wieść, że jakieś oddziały z granic Włkomierskiego ruszyły w kierunku Święcian. Trwoga zapanowała w mieście. Mówiono, że oddziały dopuszczają się po drodze grabieży. To też ludność i ziemski isprawnik zawilejski zwrócili się do komendanta z prośbą o obronę i wystawienie nocnych wart. Wprawdzie skończyło się to, jak pisał Surkow, tylko na wieściach, prosił jednak gen.-gubernatora o wskazówki, jak ma ochronić magazyny, lazaret, oraz zabezpieczyć spokój mieszkańców, gdy załoga Święcian składa się tylko z 80 inwalidów jako stałego garnizonu pod dowództwem por. Gorajskiego,

oraz z 60 ludzi gwardji konnej, ale bez koni, pod rozkazami pprucz. 2 morskiego pułku Surkowa, który też jednocześnie był i „plackomendantem”. Prócz tego w szpitalu było jeszcze kilkunastu żołnierzy z rozmaitych pułków chorych i do walki niezdolnych.

Była to załoga wystarczająca, by w spokoju trzymać miasto, ale inaczej rzecz się miała w powiecie. W majątku, zwanym Polesie, położonym na północo-wschód od Święcian, bracia Stanisław i Adolf Kubleccy dnia 11 kwietnia rozpoczęli jawne zbrojenia. Sposobiono się do marszu na Święciany. Cała noc zeszła na ostatnich gorączkowych przygotowaniach, reperowano sprzężaj, porządkowano broń.

Świt dnia 12 kwietnia zastał oddziałek gotowy do drogi. Niewielki był to oddział, liczył wszystkiego dwudziestu kilku ludzi, lecz ożywiał go zapał i wiara w słuszność sprawy, więc chociaż na każdego powstańca wypadało po 5-ciu żołnierzy rosyjskich, dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych—wierzono w zwycięstwo. O godzinie 6 rano ruszyli w drogę. Posuwali się w kierunku Rynkian. Po drodze przyłączyło jeszcze parę osób jak: Stanisław Bortkiewicz z synem i bratankiem, Adamkowicz, Komar i kilku innych, oraz kapelan cejkińskiej kaplicy, Onufry Łabuć, który w białej komży ze skrzyżowaną na piersiach stulą, z krzyżem w jednym ręku, a z pistoletem w drugiej, stanął na czele oddziału.

Szli falistą krainą, minęli wioskę Janczuny i posuwali się dalej między Trokami a Janeliszkami, zbliżając się ku Święcianom. Już tylko niecałe 2 km. dzieliło ich od miasta, a las jedynie i niewielkie wzgórza zakrywały przed okiem wroga. Tu zatrzymali się po raz ostatni. Oddziałek wzrósł na siłach, liczył około 30 ludzi. Była godzina 9 rano. Ks. Łabuć dowiedziawszy się od Skrutkowskiego, że w Święcianach nie spodziewają się ataku, zwrócił się do powstańców z krótką przemową. Przypomniiał za co idą walczyć, zapału wzbudzać nie potrzebował. Oddział ruszył do ataku. Jednak zaskoczyć wroga całkowicie się nie dało. Rosjanie zdążyli uformować szyk bojowy. Wpadających powstańców powitano salwą. Powstańcy rzucają się na szeregi wrogów. Z inwalidami poszło łatwo. Porucznika Gorajskiego wzięto do niewoli. Kazimierz Bortkiewicz natarł na ppr. Surkowa, jednak otoczony przez gwardzistów musiał ratować życie rejteradą. Ks. Onufry daje przykład odwagi. Atakuje oddział gwardji, mierzy z pistoletu w junkra księcia Golicyna, jednak chybia, nato-

miast sam dostaje pierwszy postrzał. Pada nowa salwa, jeszcze trzy kule przeszywają pierś ks. Łabucia. Ciężko ranny spada z konia. Zostaje dobity bagnetami.

Powstańcy pozbawieni obecnie przewodnika a napierani zewsząd przez żołnierzy zaczęli się cofać i uchodzić z rynku rozmaitemi drogami, zostawiając kilku zabitych. Lecz i Moskale byli dostatecznie przerażeni. Nie zważając na to, iż powstańcy się rozpierzchli, ppor. Surkow z niewielkim taborem i oddziałem gwardji pośpiesznie się wycofał na Widze. Na wieść o tem powstańcy ponownie zbierają się i wpadają do miasta. W ich ręce dostał się cenny dla nich łup: 80 karabinów, 8 pudów kul, duża ilość płótna, sukna i skóry.

Zwycięstwo całkowite było po stronie powstańców. Miasto w ich ręku. Trzeba było teraz utrwalić rezultaty zwycięstwa. Należało sprowadzić koordynację między czynnościami siły zbrojnej i postępowaniem tworzącej się władzy cywilnej. Komitet Tymczasowy wezwał marszałka szlachty powiatu zawilejskiego, hr. E. Mostowskiego, by zgłosił swój akces i zajął przyzwalne miejsce w komitecie, ten jednak zwlekał z wyrażeniem swej zgody. Wezwanie wysłane do okręgów, na które Komitet Tymczasowy prowizorycznie podzielił powiat, żywy znalazło oddźwięk wśród obywateli. Wzywano ich, by w ciągu dni 4 stawili się w mieście dla złożenia przysięgi nowym władzom. Na apel ten wielu stawilo się w Święcianach, niektórzy przyprowadzili z sobą całe oddziały ufundowane własnym kosztem. Przybył więc nowy kłopot komitetowi. Należało zająć się wyżywieniem i rozlokowaniem nowo przybyłych. Zajęto się też uporządkowaniem, wzrastającej z dnia na dzień, siły zbrojnej.

Komitet Tymczasowy, spełniwszy swe czynności, postanowił przekazać władzę instytucji bardziej stałej i opierającej się o zaufanie szerokich mas. Nastąpiło to 20 kwietnia, gdy Mostowski wreszcie zgodził się objąć prezesurę. Nowa władza działająca w imieniu „Tymczasowego Rządu Polskiego” występowała obecnie pod nazwą „Tymczasowego Rządu Powiatowego”. Rząd Tymczasowy składał się z 16 osób z Mostowskim jako prezesem i Stanisławem Bortkiewiczem jako wiceprezesem na czele.

Został on podzielony na 5 wydziałów: I Administracyjno-policyjny z St. Bortkiewiczem jako prezesem, II Wojny z hr. Adamem Ginterem, III Apropowizacji z Bernardem Czechowiczem, IV Sprawied-

liwości z Michałem Mikoszem i V Finansów z Józefem Jastrzębskim jako przewodniczącymi.

Rozporządzeniem wydziału administracyjno-policyjnego, cały powiat został podzielony na 26 parafji, na czele których stali inspektorowie, odpowiedzialni za rozwój wypadków w parafjach im podległych przed głównym inspektorem w Święcianach. Od energii i przedsiębiorczości inspektorów zależały losy powstania.

Wydział administracyjno-policyjny wykazał dużą ruchliwość, regulując sprawę rekrutacji oraz zjazdu ogólnego szlachty w Święcianach.

Sprawa rekrutacji zasadniczo załatwiona była rozporządzeniem z dnia 14 kwietnia, które dosłownie brzmi:

POWIAT ZAWILEJSKI

W POWSTANIU

Rok 1831

Kwietnia 14/2

Nr. 103

Do

Obywateli Ogłoszenie.

Powstanie Obywateli, Szlachty, Mieszkańców ku wskrzeszeniu Ojczyzny oraz odzyskania praw i swobód wolności, ufundowawszy główną kwaterę w powiatowym mieście Święcianach, dla zgromadzenia sił wojskowych, wskutek już podpisanej przez się konfederacji, czyni następującą odezwę.

1-mo. Każdy obywatel jednego pieszego żołnierza, z bronią jaką ma ognistą, lub z jakąkolwiek z dymów 2, zaś jednego konnego na dobrym koniu z szablą, pistoletami, karabinkami i dzidą z dymów 50 ma dostawić do miasta Święcian. Nadto każdy sam obywatel uzbrojony na koniu lub pieszo stawić się razem powinien.

2-do. Jeżeliby który obywatel sam dla podeszłych lat, lub innych przyczyn stanąć nie mógł, wówczas ten, kto jest w możności da za siebie oprócz naznaczonych z dymów, dwóch jeszcze żołnierzy dobrze uzbrojonych, jak wyżej się rzekło.

3-cio. Ludzie co do wzrostu i wieku niekoniecznie mają być wyborowi, byleby umieli strzelać i czuli zapał obrony Ojczyzny.

4-to. Co do odzienia, szczególnie pieszych żołnierzy, z nich każdy mieć powinien: siermięgę krótką po kolana na wygodę. Spodni płóciennych nowych dwoje, koszul dwie i butów nowych par dwie. Naostatek. To cokolwiek jest niniejszą odezwą zapowiedzianym, każdy z obywateli w ciągu dni 4-ch pod karą śmierci i sekwestracją majątku spełnić powinien. Udzielnie szlachta okoliczna i pojedyncze dymy posiadająca, jako zawsze była podporą obrony ojczyzny, obowiązana jest wszystka od lat 20 do 40 wystąpić zbrojno na koniach lub pieszo z każdego dymu osiadłego, zostawiając tylko starych i samych gospodarzy i we dni 4 stawić się do Święcian dla wykonania przysięgi i odebrania rozkazu. Każdy obywatel obowiązany na dowód spełnienia pojaśnionych w tym cyrkularzu wydać formalny rewers, w przeciwnym razie uważany będzie jako zdrajca Ojczyzny i ulegnie karze śmierci.

Przytem do niektórych parafjów ważniejszych pogranicznych, rozestane kopje rozporządzenia Najwyższego Rządu. Świadczy o zgodność St. Bortkiewicz b. podkomorzy zawilejski. Na autentyku podpisano Jan Szymkiewicz prezydent ziemski.

Takowy oryginał kopjowany jako zgodny podpisuję.

Winc. Bukowski

In(spektor) Par(afji) Daugiel(iskiej).

Sprawy przysięgi ogólnej, wyznaczonej na dzień 5 maja, oraz sprawy aprowizacyjne regulowało rozporządzenie wydziału administracyjno-policyjnego z d. 27 kwietnia, nakazujące dostarczenia do Święcian sucharów, które iść miały do Goniądza (teraźniejszy Osowiec) dla armji rosyjskiej, oprócz tego musiały parafje dostarczyć dla głównego oddziału w Święcianach po 1 byku z dymu i po 3 garnce wódki.

Odezwy te i wezwania były szerzone wśród ludności przez specjalnych emisariuszy, a także ogłaszane z ambon świątyń tak rzymskokatolickich jak i grecko-unickich, a wielu księży dawało dobry przykład, wstępując do szeregów walczących. To też ciężkie naogół warunki rekrutacyjne były przez podniesioną na duchu ludność spełniane bez szemrania. Szeregi siły zbrojnej tak terytorjalnej, jak i oddziału głównego święciańskiego szybko się zwiększyły. W krótkim czasie doszły nawet do 3000 ludzi, ale gorzej się przedstawiała kwestja uzbrojenia i umundurowania. Wielu zgłaszających się trzeba było odsyłać do domu. Ledwo do 300 piechoty dało się zaopatrzyć w karabiny rosyjskie z bagnetami. Skórzane rańce z cielęcej skóry, kołpak sukienny, manierka i buty stanowiły komplet umundurowania. Reszta wojska była w przepisowym stroju kantonistów, t. j. w siermiędze samodziółowej po kolana z ciemno-zielonym kołnierzem i, o ile możności, z sześciu guzikami metalowemi. Płócienne spodnie, także dwie koszule zapasowe i buty, oraz torba zarzucona przez ramię uzupełniały ekwipunek kantonisty. Co do uzbrojenia to, o ile kto nie miał strzelby myśliwskiej, siedł z lancą lub kosą, osadzoną na sztorc.

Podobnie wyglądała i kawalerja, z tą różnicą, że część była zaopatrzona w piki. Trochę inaczej przedstawiał się tylko oddział kawalerji, złożony ze szlachty, oraz z kantonistów, wysyłanych po jednym z 50 dymów przez zamożniejszych obywateli. Był to oddział wyborowy. Jego żołnierze siedzieli na dzielnych koniach i każdy był dobrze uzbrojony: w szablę, pistolety, karabinek i pikę. Ubrani byli w granatowe kurtki z amarantowemi pętlcami na kołnierzu, także spodnie z lampasami i burkę zarzuconą przez ramię.

Dwie lekkie armatki i niewielki oddział specjalnych kantonistów, coś w rodzaju terazniejszych saperów, były uzupełnieniem całości „siły zbrojnej zawilejskiej”.

Zrobiono więc, jak na tych kilka dni, jakimi powstanie swobodnie rozporządzać mogło, stosunkowo dużo, lecz niestety dalszemu organizowaniu się powstania zawilejskiego położyły kres wojska rosyjskie, które się zbliżały od strony Niemenczyna, Siwicz i Kołtynian.

W takich to okolicznościach zebrał W. Bortkiewicz z 4 na 5 maja radę wojenną i przedstawił jej położenie. O walce odpornej w Święcianach przy tak znacznej przewadze wroga myśleć nie było można. To też rada wojenna postanowiła opuścić Święciany bez boju. Nasuwały się dwa zagadnienia: dokąd iść i co robić z ludźmi, którzy losy swe złączyli z losami powstania, a przedewszystkiem, co robić z ludem wiejskim, który z taką ufnością powierzył się przywódcom? Czy brać go na tułaczkę po obcych powiatach, odrywać od chat i ziemi ojczystej i skazywać na niepewne jutro? Bortkiewicz stanowczo się temu sprzeciwił. Sprzeciwił się i z innych jeszcze względów. Będąc zewsząd otoczony przez przeważającego i wyćwiczonego wroga, mógł jedynie liczyć na to, że szybkimi marszami uda mu się wymknąć od grożącego niebezpieczeństwa. Do tego nie nadawała się większa masa, w dodatku należycie nie zdyscyplinowana i źle uzbrojona. To też zdecydowano się t. zw. „kantonistów” zwolnić do domów. Zostawiono jedynie oddziały dobrze uzbrojone i wyćwiczone, które sprawności bojowej nabrały w licznych potyczkach i walkach z oddziałami Kochowskiego w okolicach Daugieliszek i Kocergiszek. Z kilku tysięcy powstańców wybrano oddział piechoty, liczący 300 osób uzbrojonych w karabiny z bagnetami. Kawalerja święciańska wraz z jazdą oszmiańską liczyła przeszło 200 koni. Resztę rozpuszczono do domu.

Minął krótki czas wolności. Książę Chiłkow—po uprzednim cofnięciu się nielicznej pikiety powstańczej — szedł koło Jodziszkaniec na Święciany. Wszedł do miasta powiatowego bez boju. Nie spotkał żadnego oporu, bo gdy wkraczał do miasta, już tam siły zbrojnej powstańców nie było. Jeszcze dnia poprzedniego, t. j. z 4 na 5.V, główne siły powstańców cofnęły się na Łyntupy.

Wiele osób, obawiając się represji, emigrowało z odchodzącymi oddziałami. Jedni szli tylko w dalsze okolice w nadziei, że się ukryją w lasach i głuchych wsiach, inni byli zdecydowani dzielić do końca

losy siły zbrojnej zawilejskiej. W mieście pozostali ci, którzy musieli pozostać, lub którzy pewni byli przychylności Moskali.

Siła zaś zbrojna zawilejska wydostawszy się poza łańcuch kolumn barona Renne'go, już od Mosaza maszerowała spokojnie ku Łużkom, by wzmocnić tameczne powstanie. Sądziło, że wzmacniając powstanie dziśieńskie zrobią pożądaną dywersję, odciążając na pewien czas Żmudź od sił rosyjskich. Jednak rzeczywistość i te nadzieje miała wkrótce rozwiać. Pobyt ich tam choć wsławiony akcją pod Głębokiem, był krótkotrwały. W niespełna 10 dni wracać miały oddziały tym samym szlakiem, przeciągając raz jeszcze przez powiat rodzinny, by skierować swe kroki ku Żmudzi.

Najtrudniejszym miejscem do przebycia były okolice między Widzami a Kocergiszkami. Należało zrećznie się prześlizgnąć między oddziałami rosyjskimi, które tu gęsto były rozrzucone. Na południu, w Świecianach stał gen. Dochturow, na północ od Widz strzegł drogi dynaburskiej pułkownik Łowejko, w samych zaś Widzach znajdował się pułk. Kochowski.

Powstańcy porankiem dnia 21 maja przekradali się koło Widz. Gdy ich zaledwie kilka wiorst dzieliło od tego miasta, posłyszeli naraz strzały armatnie. Pogodny ranek wiosenny pozwolił rozróżnić dym każdego wystrzału. Naliczywszy kilkadziesiąt takich wystrzałów i sądząc, że Rosjanie obchodzą jakieś swoje święto, postanowili skrócić bardziej na lewo, kierując się na Kocergiszki. Byli przekonani, że nieprzyjaciele zajęci uroczystościami nie zauważą ich. Pozostawała tylko kwestja, czy ta ostatnia droga jest wolna. Pojmany przez jazdę wilejską patrol rosyjski rozwiął te nadzieje. Dowiedziano się, że we wsi stoi kompanja piechoty, kilkudziesięciu ułanów i kozaków pod pułk. Tinkowym. Oddział ten był wyznaczony przez ks. Chiłkowa do pilnowania mostu.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko szybkim natarciem utorować sobie drogę, zanim zdążyłyby przyjść posiłki z Widz. Od powodzenia tej akcji zależał dalszy los oddziału. Dłuższe zatrzymanie się w tem miejscu, mogło wogóle zamknąć dalszą drogę, gdyż gen. Safjanow, zorjentowawszy się w kierunku marszu powstańców, dążył teraz w szybkim tempie za nimi. Poza tem dałoby to czas sprowadzić z zachodu pomoc ks. Chiłkowa, który teraz był w okolicach Malaty—Kołtyniany.

By liczne tabory nie utrudniały akcji, wysłano je naprzód pod osłoną strzelców wilejskich i oddziału kawalerji pod Wołodkowiczem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przeszły one zupełnie niezaczeplone przez Rosjan. Czy były niezauważone? Czy też nagle pojawienie się przeciwnika zdeзорjowało Rosjan? Trudno powiedzieć. Dopiero gdy siły główne powstańców były o niespełna kilometr od Koczergiszek, piechota rosyjska rzuciła się do okopów usypanych koło drogi, a kawalerja szykowała się na placu przed karczmą. Rozpoczęła się strzelanina ze strzelcami wilejskimi, osłaniającymi tabory. Gdy ogień zaczął się wzmacniać, a utarczka przeciągała się, Radziszewski, objawszy dowództwo nad strzelcami zawilejskimi, wraz ze swoją artylerją posunął się wzdłuż wyniosłości, ciągnących się od strony Daugieliszek, a zapewniającej dominujące stanowisko ponad drogą, przechodzącą koło Koczergiszek.

Nieprzyjacieli, wzięty w flankowy ogień strzelców zawilejskich i 4 armaty Radziszewskiego, zmieszał się i szybko cofnął poza karczmę. Wówczas, stojący dotychczas na uboczu, w otoczeniu „Złotej chorągwi” Bortkiewicz i Brochocki wysłali do szarży kawalerję. Odkryta równina nie nadawała się jednak do napadu. Ogień piechoty rosyjskiej, ukrytej poza wałami, zmusił ją do cofnięcia się. Znowu musieli wystąpić strzelcy zawilejscy. Wspomagani przez artylerję Radziszewskiego, zmusili Rosjan po kwadransie zawziętej walki do pośpiesznego cofania się poza Dżisnę i zerwania za sobą mostu. Wtedy ponownie ruszyła do szarży kawalerja pod Wołodkowiczem na pozostałych ułanów, zmuszając ich do ucieczki wpraw przez rzekę. Mimo, że bitwa trwała niespełna godzinę, zwycięstwo było kompletne. Zaskoczony zniemacka wróg nie miał czasu zabrać swych taborów, a nawet zapomniane w pośpiesznej rejteradzie szable i mundury oficerów stały się łupem powstańców. Na rzecz publiczną przeszła tylko baryłka prochu i suchary, reszta łupu została podzielona wśród powstańców. Straty obustronne w zabitych nie były znaczne. Uchodzącego wroga nie ścigano, gdyż czas nie pozwalał. Powstańcy dla zmylenia pościgu zwrócili się początkowo jakby ku Dryświatom, by później skrócić raptownie w lewo i o świcie 22 maja stanąć w Rymszanach.

Ze zwycięstwem pod Koczergiszkami została związana piękna, miejscowa legenda. Opowiadano, że podczas bitwy wyszedł ze wsi jakiś starzec z białą chorągwią i stojąc pośród największego ognia krzyżowego, zachęcał walczących powstańców; to dodawało im otuchy. Później gdzieś znikł. Mimo poszukiwań nie odnaleziono go, nie znaleziono też jego trupa. Wśród ludu powstało mniemanie, że to musiał być jakiś święty.

Bitwa pod Kocergiszskami była ostatnią większą walką, stoczoną przez powstańców na terenie powiatu Zawilejskiego.

Odtąd oddziały powstańców przeniosły swą akcję dalej na północo-zachód, by tam wreszcie doczekać się nadejścia wojsk polskich i połączyć się z niemi. Wprawdzie wtedy odżywa też na pewien czas i akcja partyzancka na terenie powiatu święciańskiego, ale biorą w niej udział tylko drobne oddziały lokalne, które do większego znaczenia nigdy nie doszły.

V. POWIAT WILEJSKI.

Wieść o powstaniu sąsiedniego powiatu oszmiańskiego ożywiła nadzieje wilejczan. Jednak sytuacja miejscowa nie pozwalała narazie naśladować czynu oszmiańskiego. Niewielka miłościna, jaką była Wilejka, ogołocona prawie że całkowicie z broni palnej, a obsadzona przez garnizon moskiewski w sile 120 inwalidów pieszych i 10 kozaków pod kapitanem Nowickim, nie mogła myśleć o rozpoczęciu akcji własnymi siłami. Trzeba było liczyć na współpowietników. Tam jednak było brak decyzji i jedności. Mimo najlepszych intencji osobistych obywatele oglądali się jeden na drugiego, a żaden nie chciał na siebie wziąć decyzji rozpoczęcia walki. Oglądano się na marszałka powiatowego Hipolita Giecewicza, a choć mu nie dowierzano, to jednak sądzono, że o ile zgodzi się na przyjęcie na siebie inicjatywy powstania, to będzie to oznaką, że ma ono widoki zwycięstwa, gdyż wiadano, że Giecewicz nie ryzykował, gdy nie był pewny powodzenia.

Gdy przyszło z nim do stanowczej rozmowy, Giecewicz bez wahania zaznaczył, że wspólnie z innymi gotów jest wszystko dla ojczyzny poświęcić. Sprawa ta została załatwiona pomyślnie. Należało teraz zająć się przygotowaniem do opanowania miasta powiatowego i to w czasie przyspieszonym, gdyż można było spodziewać się, że Rosjanie wzmocnią załogę. Żeby akcję tę przyspieszyć, postanowiono się zwrócić po pomoc do przywódcy powiatu oszmiańskiego hr. Przeździeckiego, gdyż na zebranie własnego oddziału w szybkim czasie trudno było liczyć. Przeździecki na podstawie uchwały rady wojennej wysłał na pomoc Wilejczanom Michała Chodźkę z plutonem jazdy Jurkowskiego, do którego po drodze przyłączył się Ignacy Odachowski. Oddział ten stanął 13 kwietnia pod Wilejką w Malinowszczyźnie.

Na wieść o tem urzędnicy rosyjscy pośpiesznie uchodzą z Wilejki, zostawiając nawet kasę i broń, zgromadzoną z powiatu, w arsenale. Wprawdzie pozostał jeszcze w mieście z oddziałem inwalidów kpt. Nowicki, ale nie miał on zamiaru się bronić, pragnąc jedynie, aby zostawiono go w spokoju, a komendzie jego nie czyniono krzywdy. To też, gdy dnia 14 kwietnia oddział Chodźki wpadł do miasta, nie spotkał oporu. Komenda złożyła broń, a Nowicki złożył Chodźce raport, jakby swemu przełożonemu. Zato powstańcy obeszlą się z jeńcami bardzo łagodnie. Po odebraniu broni zostawiono im całkowitą swobodę. W ten sposób Wilejka dostała się w ręce powstańcze. Zdobyć, choć nie była wielką, jednak miała dla powstańców dużą wartość. Stanowiło ją kilkaset sztuk broni palnej myśliwskiej, tyleż karabinów z bagnietami, znaczna ilość ładunków, trochę sukna i mundurów oraz 20,000 złotych w gotowiznie. Miało to posłużyć za podstawę dla organizować się mającej, siły zbrojnej.

Tegoż dnia po uporządkowaniu sytuacji w mieście rozesłano do obywateli powiatu zawiadomienie o wyswobodzeniu Wilejki, wzywając ich jednocześnie, by stawili się na dzień 17 kwietnia dla zawiązania i ogłoszenia aktu konfederacji, oraz unormowania całego szeregu innych spraw, związanych z nowowytworzoną sytuacją, a przede wszystkim uchwaleniem poboru rekruta. Na wyznaczony dzień mieszkańcy miasta i okolic przybyli licznie. Miasto przybrało odświętny wygląd. Zatarły się różnice wyznaniowe i stanowe.

Jednak okazało się, że nim powstanie zdąży skrzepnąć, nim wyda jakieś konkretne rezultaty, zimny powiew rzeczywistości zmrozi je.

W nocy z 17 na 18 nadeszła wieść o zdobyciu Oszmiany i marszu oddziałów rosyjskich na Wilejkę. Podziało to deprymująco na zebranych. Niektórzy ze szlachty chyłkiem wymykali się do domów. Za ich przykładem idąc, chłopci też zaczęli się rozchodzić. Inni jeszcze chcieli powziąć formalną uchwałę, by aktu konfederacji nie podpisywać, a wypadki zaszły uznać za niebyłe i cicho rozejść się do domu. Ale na to nie chciała i nie mogła zgodzić się młodzież. Na jej czele Wołodkowicz wywarł nacisk na zebranych, by nie rozchodzili się do domów, dopóki nie dadzą jakichś podstaw widomych powstania, na którychby się ono oprzeć i rozwijać mogło. Taką bazą był uchwalony w dniu 18 kwietnia akt konfederacji powiatu wilejskiego, który brzmi tak:

„Równie jak u wszystkich Litwinów, niezatartą była w sercach obywateli powiatu wilejskiego święta miłość Ojczyzny. Troskliwie piastowali tę świętego ognia

iskierkę, niecierpliwie wyglądając pory sposobnej do połączenia się na nowo z Koroną Polską.

Dzisiaj za danem przez Żmudź hasłem, a następnie przez inne powiaty województwa wileńskiego, My obywatele powiatu wilejskiego, województwa mińskiego, ochocho bierzemy się do broni i postanawiamy łączyć się w jednym celu z bracią, których krew już się leje za Ojczyznę, wolność i prawa.

Biorąc się za tak ważną i najdroższą sprawę, korzimy się w duchu chrześcijańskiej pokory przed Panem Zastępów, wzywamy Jego wszechwładnej pomocy i ufając w Jego opiekę, przystępujemy do aktu postanowionego na sejmie warszawskim d. 3 grudnia 1830 r. i do Konfederacji związanej w województwie wileńskim. Poprzysięgamy nieść w ofierze życie nasze oraz majątki, oręża nie złożyć, dopóki nie odzyskamy napowrót wydartej nam Ojczyzny i swobody!

Oświadczamy uroczyście, iż mimo srogie uciski, arbitralności, poniżenia i niesprawiedliwości wszelkiego rodzaju, jakie doświadczać i znosić byliśmy przymuszeni przez lat trzydzieści siedem; idąc za nauką Zbawiciela naszego, nie tchniemy duchem zemsty przeciwko narodowi rosyjskiemu, uważamy Rosjan za bliźnich naszych, i dzieląc szlachetne uczucia oświeconego wieku, nie pałamy chęcią odwetu. Lecz też postanawiamy i przysięgamy walczyć do ostatniej kropli krwi naszej za Polskę całą, wolną i niepodległą.

Ile tchniemy duchem umiarkowanym względem narodu rosyjskiego, ile pręci jesteśmy miłością dla wszystkich bliźnich naszych bez różnicy wyznania i pochodzenia, tyle razem zmuszeni jesteśmy oświadczyć, iż każdego, coby sprawę naszą zdradzał i otwarcie lub skrycie jej szkodził, acz niechętnie, zmuszeni będziemy karać przykładnie.

Wzywamy Boga na świadectwo szczerości przysięg oraz oświadczeń naszych i niniejszy Akt Konfederacji dobrowolnie oraz własnoręcznie podpisujemy.

Pisano w mieście powiatowem Wilejce. Roku 1831 miesiąca kwietnia 6 13 dnia".

Po podpisaniu aktu przystąpiono do wyboru naczelnego wodza siły zbrojnej, na którego wybrano Radziszewskiego. Ten, opierając się na systemie rekrutacyjnym podobnym do systemu w innych powiatach, z niewielkimi tylko odchyleniami lokalnymi, spodziewał się, że będzie mógł wystawić 6000 piechoty i 2000 jazdy. Zostali wezwani do wspólnej obrony ojczyzny także Żydzi i chłopci, którym obiecano zniesienie poddaństwa. Do miasta zaczęli licznie napływać ochotnicy i kantonieści, lecz niestety nie starczało dla wszystkich broni, brakło też fachowych instruktorów, którzyby ich odpowiednio wyszkolili. Powstanie rozszerzało się obecnie już i na powiat, jednak dalszemu rozwojowi stanął na przeszkodzie ruch wojsk rosyjskich.

Podpułkownik Bolcental na czele 500 kozaków, zajmując po drodze i niszcząc wieś rodzinną Rodziszewskiego Ilję, zbliżał się ku Wilejce. Na wieść o tem Cywilny Komitet Wilejski uciekł z miasta 22 kwietnia, zostawiając wszystko na odpowiedzialność Radziszew-

skiego. Ten, mając przesądzone wieści o sile Bolcentała, a widząc ponadto pewne zdemoralizowanie zarówno wśród ludności cywilnej jak i wojska, spowodowane faktem ucieczki Komitetu, postanowił wycofać się w głąb powiatu, by tam przeprowadzić reorganizację wojska. Musiała to być pośpieszna ewakuacja, gdyż w ręce Bolcentała, który z dnia 23 na 24 kwietnia zajmuje Wilejkę, dostaje się 800 strzelb, 120 pistoletów, pakiety pieniężne, sztabs-oficer rosyjski, będący jeńcem Wilejczan, i wiele innej zdobyczy. Dostał się też w ręce Bolcentała adjutant Radziszewskiego Paweł Zahorski wraz z 20 ludźmi, który zapóźno się cofnął z miasta.

Tak więc powstanie w mieście powiatowem po tygodniu istnienia upadło. Jednak nie złamało to Radziszewskiego, który, cofnąwszy ku Miadziołowi, wziął się energicznie do pracy nad swoim wojskiem. Wkrótce znów miał przeszło 300 konnych i około 3000 pieszych. Cóż kiedy rzadko który z nich był zaopatrzony należycie w broń; przeważnie pika lub kosa była całem uzbrojeniem powstańca. Starano się ich teraz przyzwyczajać do zwrotów i musztry wojennej. Kawalerją zajęli się Wołodkowicz, Lubański, Zawierski, całością piechoty dowodził osobiście Radziszewski, oddając strzelców pod rozkazy Lewkowicza, kosynierów zaś — Stanisława Wańkowicza. Związkiem artylerji były dwa działka bronzowe, któremi opiekował się starzec Tański, major jeszcze z czasów Kościuszkowskich. Niedługo dane było Radziszewskiemu pozostawać spokojnie pod Miadziołem. Złożyły się na to dwie przyczyny. Pierwszą było to, by nie zostać otoczonym przez przeważające wojsko rosyjskie, które w tym czasie w myśl planu gen.-gub. Chrapowickiego miało w tym czasie koncentrycznie zbliżyć się ku Miadziołowi.

Drugą przyczyną było ciągle wzywanie pozostałych obywateli w Wilejce, by wreszcie ich uwolnić od jarzma rosyjskiego. To wszystko razem skłoniło Radziszewskiego do marszu na Wilejkę.

Dnia 4 maja po północy stanął Radziszewski pod Wilejką. O świcie koło godziny 3 rozpoczął się atak. Początkowo szczęście sprzyjało powstańcom. Strzelcy wyparłszy piechotę rosyjską wkroczyli do miasta, zmuszając Rosjan do cofnięcia się poza rzekę i do pozostawienia w ręku powstańców kilkudziesięciu jeńców. Jednak mimo to: dalszy atak spotkał się z silną kontrakcją, gdyż dnia poprzedniego w Wilejce stanął gen.-major Safjanow z 2 rezerwowemi bataljonami piechoty i 2 armatami. Działła rosyjskie rozproszyły kosynjerów, atak

na bagnety piechoty rosyjskiej, która wykorzystała pewne niedopa-
trzenia dowództwa powstańczego i moment zamieszania, dokonał
reszty.

Od większych strat uchroniła Wilejczan dzielna postawa strzel-
ców pod Tukałą, którzy powstrzymali dolny impet piechoty rosyjskiej.
Jednak Radziszewski musiał się szybko cofnąć ku Wołkołatom. De-
moralizacja zaczęła się wkradać w szeregi. Szczególniej kosynjerzy rzu-
cali broń, by wracać do swych chat. Radziszewski nie tracił ducha.
Miał nadzieję, że kilka dni spokoju da mu możliwość ponownego
skonsolidowania oddziałów.

Nie danem mu było i tu dłużej pozostać. Safjanow wzmocniony
2 szwadronami kawalerji z grupy gen. Otroszczeki postanowił współ-
działać z oddziałem pułk. Renn'ego i przeciąć drogę Radziszewskie-
mu między Głębokiem a Wołkołatą, by uniemożliwić mu połącze-
nie się z oddziałami Bortkiewicza i Brochockiego. W tym celu ruszył
Safjanow ku Dokszycom. Ten manewr Safjanowa zmusił Radzisz-
ewskiego do opuszczenia już 10 maja Wołkołaty i maszerowanie na Głę-
bokie. Odtąd siła zbrojna Wilejczan dzieliła wspólne losy powstania
powiatu dziśnieńskiego. Jednak spokój, który zapanował w pow.
wilejskim, był tylko pozorny. Ludność czekała okazji, by znów
chwycić za broń, co też na terenie powiatu da się zauważyć, gdy
dotrze wieść o zbliżających się wojskach polskich.

VI. POWIAT DZIŚNIEŃSKI.

W pierwszych dniach kwietnia Łopacińscy, Koziellowie i kilku-
nastu innych z pow. brasławskiego zbrojno przybyło do powiatu
dziśnieńskiego, lecz grunt tu zostali oni jeszcze nie przygotowani do
rozpoczęcia zbrojnej akcji. Musieli na pewien czas się ukryć. Narazie
miasto powiatowe Dżisna było w ręku Rosjan. Zajmował je garnizon,
złożony z oddziału kozaków i inwalidów. To zmusiło powstańców do
obrania za punkt środkowy akcji insurekcyjnej miasteczka Łużek,
odległego o 35 klm. od Dżisny. Wybuch powstania w powiecie przy-
śpieszyło przyłączenie się do akcji powstańczej kilkunastu junkrów
ze szkoły dyneburskiej, którzy z etapu w Dziśnie uciekli do pow-
stańców.

Powstańcy stali obozem koło m. Łużek w polu pod szałasami. Tylko członkowie komitetu i niektórzy urzędnicy przebywali w miasteczku z racji pełnienia swych obowiązków. Część też możniejszej szlachty niezbyt chętnie godziła się na namioty i wolała pozostać w miasteczku pod dachami. Ale tym przykład poświęcenia dawał naczelnik siły zbrojnej powiatu dziśnieńskiego Brochocki, który mimo podeszłego wieku, sam często wśród nocy dżdżystych, na koniu objeżdżał pikiety obozowe, dając przykład sumiennego spełniania obowiązków. Obowiązek utrzymywania straży padł na uboższą szlachtę i chłopów.

Były one utrzymywane w należyтым porządku. Większe trudności przedstawiała sprawa organizacji i wymusztrowania, ciągle napływającego, elementu żołnierskiego. Najwięcej kłopotu sprawiał brak broni palnej, tylko gdzie niegdzie widać było porządną karabin, zaopatrzony w bagnet.

Szyk bojowy powstańców był trójrzędowy: w pierwszym szeregu szli strzelcy, w drugim kosynjerzy, trzeci zaś szereg był zaopatrzony w piki o tak długich drzewcach, by ostrza ich mogły dosięgnąć pierwszego szeregu.

Duch w wojsku był dobry, często się dawało słyszeć słowa wśród kosynjerów:

„My s achwotaj pojdzjem bić praklataha Moskala, tolki szto u niaho puszak nia było. Kab i nam choć maleńkuju jakuju puszkę!”¹⁾

Dnia 6 maja główne siły powstańcze wyruszyły z Łużek ku Dziśnie. Zostały one podzielone na 3 oddziały. Dwa z nich, t. j. bataljon Tomasza Łopacińskiego i oddział jazdy Chrapowickiego szły traktem pocztowym, by od strony Łuh podsunąć się ku Dziśnie, oddział zaś Brochockiego ruszył na Hermanowicze, by po połączeniu się z awangardą przejść Dzisienkę i dalej posuwać się jej lewym brzegiem. Tegoż dnia po południu oddziały zajęły stanowiska, uprzednio im wyznaczone. Następnego dnia oddział Brochockiego po zabezpieczeniu sobie tyłów przez obsadzenie brodu na Dzisience przez kompanię Szulca, ruszył dalej, zabierając z sobą jedną armatkę pod

¹⁾ Wrotnowski Fr. „Zbiór pamiątek o powstaniu Litwy 1831 r.” Paryż, 1835 r.

dowództwem starego artylerzysty Rypińskiego i kanonjera szewca Ordyńskiego. Tegoż dnia oddział stanął w Mikołajewie, gdzie był witany radośnie.

Dnia 8 maja powstańcy po wyjściu z Mikołajewa maszerowali jeszcze przez pewien czas podzieleni na dwie grupy. Bataljon Leopolda Kłota ruszył wcześniej ponad brzegiem Dżisienki, Brochocki zaś z bataljonem Wołowskiego i jazdą Mikołaja Kłota ruszył po pewnym czasie w tymże kierunku, jednak odsuwając się więcej na prawo. Celem Brochockiego było oddzielne maszerowanie, ale wspólny atak z trzech stron w oznaczonej godzinie na Dżisnę. Oddział Łopacińskiego wraz z konnicą miał uderzyć od strony Łuhów z prawej strony Dżisienki. Leopold miał atakować od strony Mikołajewa, a sam Brochocki od Doroszkowicz. Plan był dobry, powodzenie zależało od równoczesnego wykonania zadań, poruczonych każdemu z oddziałów.

Oddział Leopolda Kłota, przysunawszy się do folwarku Górki, a nie widząc jeszcze oddziału Brochockiego, starał się ten czas wykorzystać, by w odpowiednim ukryciu poza pagórkami przygotować się do natarcia. W tym też czasie zaczęła się wysuwać piechota Łopacińskiego, ale wróg zaskoczyć się nie dał, odgłos werblu rosyjskiego dawał znać, że wróg czuwa i gotów jest do boju. Przyczyną tego była niesubordynacja jednego z dowódców oddziału powstańczego, a mianowicie Chrapowickiego, dowodzącego oddziałem kawalerji. Ten, przybywszy nad Dżisienkę, nie czekając na ogólne hasło ataku, chciał wyłącznie dla siebie zachować laur opanowania powiatowego miasta, tem bardziej iż ku temu był zachęcony fałszywą wieścią o opuszczeniu Dżisny przez załogę rosyjską. Rzuca więc za rzeczkę kilkudziesięciu ludzi. Zaledwie jednak ci stanęli na drugim brzegu, gdy zostali powitani gęstym ogniem przez wysuwający się oddział rosyjski. Na cofanie się nie było czasu. Pozostawała tylko beznadziejna walka. Wielu poległo, kilkunastu dostało się do niewoli, reszta szukała ocalenia w ucieczce wpraw przez rzeczkę. Chrapowicki, widząc porażkę swej awangardy, pośpiesznie się cofał z resztą ku lasom, lecz tu napotkawszy resztę oddziałów powstańczych, maszerujących właśnie w myśl planu ogólnego ku Dżisnie, zawrócił ponownie. Ale nadzieja zaskoczenia wroga została zmarnowana. Rosjanie wyszli na spotkanie i gotowali się do przyjęcia boju. Dopiero ukazanie się trzeciego oddziału powstańców pod Brochockim od strony Doroszkowicz skłoniło ich do odwrotu.

Na rozkaz Brochockiego oddziały ruszyły szybko ku Dziśnie, spotykając się ze sobą przed miasteczkiem. Uszykowani odpowiednio do ataku przez Brochockiego powstańcy ruszyli do miasta od strony młyna, sam zaś Brochocki z oddziałem ruszył ku Dzwinię, chcąc odciąć drogę odwrotu Rosjanom, lecz trafił tylko pod ogień karabinowy, którym Rosjanie zasypali go już z drugiej strony rzeki. Spowodowało to pewne straty w ludziach, jednak duch kantonistów był dobry; z okrzykiem: „hura! nasza uziąła, Moskal prapau!” szł śmiało do ataku. Kilka wystrzałów armatnich do reszty odebrało ducha Rosjanom. Umknęli szybko dalej poza Dzwinę, zostawiając w ręku powstańców trochę jeńców, magazyny i część kasy z bilonem.

Radość zarówno powstańców jak i ludności miejscowej z odniesionego zwycięstwa była wielka. Komendantem miasta został mianowany Terlecki. Teraz powstańcy rozlokowali swe siły w obozie na piaskach w południowej stronie miasta, natomiast oddziały od zachodu w Doroszkowiczach i od wschodu w Łuhach strzegły brzegów Dzwiny. W ciągu kilkodniowego pobytu powstańców w Dziśnie czas schodził naogół spokojnie, tylko raz Rosjanie zaalarmowali powstańców.

Przeprowadzając się przez Dzwinę, koło Łuhów, pojмали dwóch wartowników, lecz, zauważywszy ruch oddziałów powstańczych w Łuhach i Dziśnie, znów wrócili za rzekę. Jednak niedługo dane było powstańcom cieszyć się ze swego zwycięstwa. Już dnia 12 maja musieli opuścić Dziśnię, gdyż w tym dniu z Widz ruszył ku Dziśnie pułk. Kappel na czele 3 rot grenadjerskiego saperskiego bataljonu z 2 działami, od Dynaburga ciągnął pułk. Markow z 3 bataljonami i 2 działami, oddziały zaś Kochowskiego ze swej strony docierały już aż do Pohostu. Przewaga tych sił nad powstańczymi była zbyt wielką, by Brochocki mógł im stawić czoło w Dziśnie. Wojska powstańcze znów wracały ku Łużkom. Wódz powstańców wilejskich Radziszewski, obawiając się by nie został całkowicie odcięty od sił powiatu Dziśnieńskiego, postanowił z oddziałami swemi przejść z Wołkołaty do Głębokiego, gdzie stanął w dniu 12 maja, uprzedzając gen. majora Safianowa, który tam dążył z 2 rezerwowemi bataljonami piechoty, 2 szwadronami i 2 działami.

Gdy więc oddziały dziśnieńskie cofały się z północy przed przeważającą siłą wroga, w tym właśnie dniu na południu Radziszewski rozpoczyna z Safianowym nowe boje koło Głębokiego. Safianow bowiem chciał za wszelką cenę rozbić Radziszewskiego, zanim

mu nadają z pomocą posiłki Zawilejczan i Dziśnieńczan. Rozpoczął więc 13 maja utarczki podjazdowe. Zawiadomiony o tem Bortkiewicz, dowódca sił powiatu Zawilejskiego, znajdujący się naówczas w Łużkach, wysłał natychmiast dla wsparcia Radziszewskiego oddział kawalerji w sile 50 ludzi. Sam pozostał w Łużkach, chcąc doczekać się Brochockiego, by wspólnemi siłami ruszyć na pomoc Radziszewskiemu. Tymczasem Wilejczanie musieli odpierać coraz zaciętsze natarcia wroga, ze swej strony nie mogąc rozwijać nawet należytej akcji obronnej, gdyż niedostatek amunicji zmuszał powstańców do jak najbardziej oszczędnego jej używania, by nie zabrakło jej w chwili decydującej. Chwila ta nadeszła wraz z przybyciem głównych sił Safjanowa. Dnia 15 maja o wschodzie słońca Safjanow rozpoczął atak.

Zagrały armaty. Dowódca rosyjski chciał ogniem artyleryjskim zdemoralizować powstańców. Pod osłoną granatów zwolna się posuwały ku powstańcom kolumny moskiewskiej piechoty. Lecz powstańcy, przyzwyczajeni już do huku dział, nie dali się nimi zastraszyć. Czekali spokojnie, aż wróg się zbliży na strzał ręcznej broni, gdyż z armat swych nie mogli zrobić użytku. Nie było amunicji.

Gdy kolumny rosyjskie zbliżyły się na odległość strzału, celny ogień strzelców Radziszewskiego zmieszał ich szeregi, zmuszając do cofnięcia się. Generał Safjanow nie dawał za wygraną, znów uformował swoje oddziały i pod osłoną ognia artyleryjskiego ponownie je rzucił do ataku. Stały spokojnie szeregi powstańców, choć u jednego już ładunki się kończyły.

Widząc grożące niebezpieczeństwo, Radziszewski postanowił wysłać do szarży posiłkowy oddział kawalerji zawilejskiej.

Na zwarte szeregi piechoty rosyjskiej ruszył niewielki oddziałek. Pięćdziesięciu ludzi, przeważnie młodych chłopców, szło na wroga. Rosjanie nie oparli się brawurowej ich szarży, prysnęły szeregi piechoty i uchodziły śpiesznie pod osłoną swych dział.

Wróg był odparty, chociaż przypłaciła to życiem połowa oddziału Zawilejczan. Jednak dalszych ataków nie było możliwości powstrzymać. Zabrakło prochu. Po trzygodzinnej walce nakazano odwrót. Odbyszał się on w zupełnym porządku, osłonięty przez jazdę Wołodkowicza. Radziszewski spotkał niedaleko Zaborza, spieszących mu z pomocą, Bortkiewicza i Brochockiego. Było już zapóźno. Miasto znajdowało się w ręku Safjanowa, a oddziały jego kawalerji postępowały w ślad za ustępującymi powstańcami na przestrzeni 3 mil. W odwrócie odznaczył się Szalewicz, wprowadzając awangardę rosyj-

ską w zasadzkę. Do większych starć nie doszło. Jednak liczone z obu stron po kilkunastu zabitych i rannych.

Tegoż dnia połączone oddziały powstańcze stanęły w Łużkach. Była to dość znaczna siła, licząca przeszło 4000 ludzi. Jednak powstańcy nie czuli się zbyt bezpiecznie, gdyż Rosjanie postanowili koncentrycznymi marszami zbliżyć się do Łużek, by przeważającą siłą otoczyć i zgnieść powstańców. Od Widz maszerował Kappel z 3 rotami i 2 działami, z Dyneburga Markow z 3 rotami i 2 działami, od Głębokiego Safjanow z całą swą siłą.

W tak niepewnej a naprężonej sytuacji minęła noc z 15 na 16 maja. Należało powziąć decyzję, co począć dalej, gdyż dłużej bezczynnie pozostawać ze względu na własne niebezpieczeństwo nie można było.

Zrana dnia 16 zebrała się Rada wojenna, złożona z przywódców oddziałów i poważniejszych obywateli, która miała zadecydować o dalszych losach powstania. Ważną odpowiedzialność brała na swe barki. Zgody wśród radzących nie było. Na burzliwych dyskusjach czas się przeciągał. Jedni, przeważnie byli wojskowi, którzy mieli za sobą epopeję napoleońską, byli za marszem w Wiłkomierskie i dalej na Żmudź, w celu połączenia sił z oddziałami już tam będącymi. Drudzy, przeważnie obywatele ziemscy, na czele z sędziwym marszałkiem Podbiłępiętą, byli za trzymaniem się do upadłego w swych stronach. Ten starzec wyrosły jeszcze na tradycjach konfederackich, nie wyrozumował, lecz raczej odczuł, że siła ich tkwi w powiatach. Ostatecznie jednak Rada zadecydowała, że mają iść na Żmudź.

Po powzięciu ostatecznej decyzji przystąpiono do segregacji powstańców. Oddział Bortkiewicza liczył 300 piechoty, przeważnie zbrojnej w karabiny z bagnetami i 150 jazdy. Przy tym oddziale trzymało się ciągle 60 strzelców oszmiańskich i 30 „desperatów”. Towarzyszyła mu też wyborowa chorągiew z powiatu dziśnieńskiego zwana „Złotą chorągwią”. Radziszewski miał 2 działa pod Rypińskim i Kiersnowskim w asekuracji 30 strzelców, 300 jazdy i trochę kosynjerów. Brochocki dowodził 160 strzelcami, 250 jazdy i kilku setkami ludzi zbrojnych w topory i siekiery. Odachowscy mieli 2000 kantonistów, 100 strzelców i 100 konnicy. Rozdzielone oddziały jeszcze kilka godzin spędziły razem w Łużkach. Pod wieczór ruszono w drogę.

Wraz z odejściem ostatniego żołnierza-powstańca mieszkańcy zdani byli na niepewną łaskę zwycięzcy.

Gdy noc zapadła nastąpiła chwila rozstania. Jedni pod dowództwem Ignacego i Feliksa Odachowskich poszli w Lepelskie, drudzy zwrócili się ku Berezwezwowi wciąż w tem przekonaniu wśród szarego ogółu, że idą walczyć pod Głębokie. Gdy jednak oddział znalazł się w okolicy Berezwecza, dłużej stanowczej decyzji odwlekać było niepodobna. Naczelnicy wyraźnie oznajmili o swym zamiarze marszu na Żmudź, oddział zwrócono między jeziora, otaczające Berezwecz, na prawo ku Udziałowi.

Dnia 19 maja przebyto Dżisienkę za Łajskiem i maszerowano dalej na Koziany.

Powstańcom udało się wyminąć wszystkie garnizony rosyjskie, nie wdając się z nimi w żadne potyczki. W dużej mierze zawdzięczano to Bortkiewiczowi, który znając dokładnie powiaty brasławski i zawilejski, prowadził powstańców „jak doświadczony żóraw stado przelotne”. Z Kozian ruszono na Twerecz.

VII. POWIAT BRASŁAWSKI.

Jest to jedyny powiat, który nie brał czynniejszego udziału w powstaniu listopadowem. Da się zanotować tylko sporadyczne wypadki zmagañ orężnych na terenie brasławszczyzny. Przyczyną tego była bynajmniej nie obojętność obywatelska dla spraw ojczystych, ale specyficzne warunki, w jakich się powiat znalazł. Położony na drodze do twierdzy Dyneburskiej, był ważnym terenem komunikacyjnym, to też był pilnie przez władze obserwowany, a rozsiedlenie dość liczne t. zw. „burłaków”¹⁾ w powiecie znacznie utrudniało prowadzenia akcji przygotowawczej.

Jednak obywatelstwo w początku kwietnia zaczęło myśleć o rozpoczęciu walk orężnych, gdy nagłe zjawienie się i energiczne wystąpienie pułk. Kochowskiego sparaliżowało całą akcję, a inicjatywę oddało w jego ręce. Stanąwszy w przeddzień powstania w Widzach, a widząc na co się zanosi, zwołał obywateli do Widz i tamże ich uwięził. Zorganizowawszy obronę na miejscu przeważnie z „burłaków”,

¹⁾ Koloniści z głębi Rosji, osiedleni na stałe, lub sezonowo na Litwie. Przeważnie należący do sekty religijnej t. zw. „raskolników”.

sam ruszył do Dyneburga z żądaniem pomocy od gen.-adjutanta Geróis'a, by móc drogę do Wilna oczyścić od powstańców. W dwa dni wracał już na czele 79 ludzi, jako awangardy, mającego wkrótce nadsyłać za nim, bataljonu saperskiego z 2 działami. To mu dało możliwość utrzymać pokój w samym powiecie. Tylko na pograniczach musiał raz po raz toczyć rozmaite mniejsze walki, jak koło Daugieliszek na rubieży powiatu święciańskiego. Chodziło mu o zdobycie tego punktu wpadowego do zawilejszczyzny, by później, przy posunięciach dalszych, móc ponownie nawiązać zerwaną komunikację z Wilnem.

Lecz powstańców zaskoczyć się nie dało. Na czele sił parafii daugieliskiej i połuskiej stał W. Bukowski, który potrafił odeprzeć kilka napadów żołnierzy Kochowskiego jak i zorganizowanych przez niego band chłopskich w czasie od 14 do 16 kwietnia i nawet zamierzał przejść do ataku na Widze. Gdy pułk. Kochowski dowiedział się o tem od szpiega, postanowił sam ruszyć i zniszczyć wroga. Dla rozpoznania sytuacji i przekonania się o prawdziwości wieści, wysłał sztabs-kapitana Kochowskiego z oddziałem gwardji w sile 20 ludzi. Ten jeszcze tegoż dnia dotarł do pogranicza powiatu zawilejskiego i nad wieczór stanął we wsi Przewoźnikach. Tu było spokojnie, jak w całym powiecie brasławskim, ale już za Dżisną koło folwarku Dżiatkowszczyzna, zauważył czaty powstańcze. Dowiedziawszy się od szpiegów, że stoi tam oddział kantonistów, do 100 ludzi liczący, pod Tołłoczka, Kochowski, korzystając z ciemnej nocy i niefrasobliwości czat powstańczych, przeprawił się przez Dżisnę niezauważony, pikietę powstańczą zdjął i niespodziewanie napadł na oddział. Wywiązała się krótką strzelanina. Powstańcy cofnęli się bez strat pod osłoną nocy. Kochowski zajął Dżiatkowszczyznę, zabierając jako łup kilkanaście sztuk bydła, przeznaczonego dla wyżywienia oddziału. Bydło to uwiódł do Widz. Podobnych wypraw było jeszcze kilka, jak np. 20 kwietnia por. Szachowskiego, lub 7 i 11 maja Roppa i Szełhudowicza i kilka innych. Lecz należą one terenowo raczej do powstania powiatu zawilejskiego, bo z nim są związane, choć ataki na nie wychodziły od sił moskiewskich, zgrupowanych w powiecie brasławskim, a przedewszystkiem w Widzach. Były to jednak wydarzenia epizodyczne i większej roli w powstaniu nie odegrały.

VIII. WILNO I POWIAT WILEŃSKO-TROCKI.

Wiść o powstaniu dostała się szybko do Wilna. Wprawdzie trudno określić dobrze, kiedy to nastąpiło, to jednak z całą pewnością można mówić, że już w połowie grudnia społeczeństwo wileńskie wiedziało o wypadkach warszawskich. Rozpoczęły się tajne zebrania w domach prywatnych. Myślano również o przygotowaniu broni dla ewentualnych wypadków. Władze rosyjskie, niedowierzając społeczeństwu wileńskiemu mimo jego wiernopoddańczych adresów, nakazały konfiskatę wszelkiego rodzaju broni palnej i białej do nożów większych włącznie. Nie dało to wprawdzie większych rezultatów szczególnie w Wilnie, ale dało w ręce władz rosyjskich nici spisku wśród młodzieży akademickiej t. z. „Mnezerów” z Józefem Ignacym Kraszewskim na czele. Choć późniejsze śledztwo uznało, że spisek ten nie miał nic wspólnego z powstaniem na Wileńszczyźnie, to jednak zwróciło szczególną uwagę władz na młodzież akademicką, która się mogła stać materiałem zapalnym.

Rzeczywiście młodzież akademicka starała się wejść w kontakt z Centralnym Komitetem Wileńskim, by akcję wspólnie uzgodnić. Zdaje się, że udało się jej to w połowie kwietnia skutecznie. Ale obie strony nie były z siebie zadowolone. Młodzież rwała się do czynu — często może zbyt nieogłędnie. Komitet przesadzał znacznie w obliczaniu sił przeciwnika i wołał czekać pomocy lub przynajmniej hasła z Warszawy.

Wskutek swej opieszałości Komitet zaczął powoli tracić znaczenie, a w chwili samorzutnego wybuchu powstań na Żmudzi i Litwie stracił resztę racji bytu. Młodzież, przekonawszy się po nieudanej akcji Załuskiego, że liczyć na pomoc z zewnątrz jest niemożliwe, a na akcję od wewnątrz jest już czas spóźniony, postanowiła opuścić Wilno i zasilić sobą szeregi powstańcze w powiatach. Ruch ten rozpoczyna się z końcem kwietnia, przybierając na sile w pierwszych dniach maja, choć taka emigracja z miasta połączona była z dużą dozą niebezpieczeństwa. Władze rosyjskie oficjalnie zabroniły wszelkich samowolnych wyjazdów z Wilna. Jednak zakaz ten miał raczej charakter teoretyczny, gdyż trudno go było przeprowadzić w życiu. Sama policja stwierdza, że do 15 maja opuściło Wilno około 1000 osób. Wiele złożyło się na to przyczyn. Przedewszystkiem brak odpowiedniej ilości wojska utrudniał należyte strzeżenie wyjść z Wilna. Drugą przyczyną były topograficzne warunki nadzwyczaj do-

godne do ucieczki, co szczególnie w połączeniu z pierwszą przyczyną dawało prawie zawsze pomyślne rezultaty. Trzecią i może najważniejszą — było patrzenie przez palce ze strony gen.-gubernatora na opuszczanie miasta przez elementy najbardziej ruchliwe i zapalne. Chrapowicki pozbywał się ich chętnie. To też nawet większym oddziałom (jak np. Wierzbickiego w sile prawie 100 ludzi) udało się 25 kwietnia wydostać z miasta i pomyślnie przedostać się do Niemenczyna, skąd większość pomaszerowała dalej na Żmudź. Inne mniejsze oddziały też maszerowały po wyjściu z miasta do dalszych powiatów, chociaż okolice najbliższe może najwięcej ich potrzebowały, ale jakaś siła tajemna pchała ich do większych skupień. Tak było i z największym oddziałem akademickim, który w dniach 10 i 11 maja wyruszył z Wilna w liczbie kilkuset osób. Po uprzednim zorganizowaniu się i wywiezieniu przygotowanych zapasów broni do lasów burbiskich młodzież wyruszyła dwoma etapami w dniach 10 i 11 maja. Dnia 11 maja odbyło się to prawie, że bez zachowania należytej ostrożności, gdyż między godziną 3 a 4 dnia, co spowodowało nawet niepotrzebnie śmierć jednego z nich spotkanego przez patrol kozacki, wysłany w pościg za uchodzącymi. Akademicy po wydostaniu się za miasto i po uzbrojeniu się w lasach burbiskich, ruszyli dalej na Rudniki, gdyż celem ich było rozniecenie powstania w Lidzkiem w okolicy Olkienik. Los zrządził inaczej. Napierani przez wroga, musieli się cofnąć w głąb powiatu trockiego, gdzie łącząc się z Matuszewiczem dzielili wspólnie losy powstania trockiego. W Wilnie zapanował spokój. Jednak nieraz jeszcze koszmar buntu czy urojonego spisku spędzał sen z oczu, lub odrywał od biesiadnego stołu gen.-gubernatora Chrapowickiego. Takie pierwsze zdarzenie spotkało go jeszcze w pierwszych dniach marca. Była to sprawa Kudrewicza.

Działalność Kudrewicza nie była rzeczą nieznaną gen.-gubernatorowi wileńskiemu. Od początku akcja jego była wykonywaną na specjalne polecenie władz przełożonych. Miał on zlecenie — śledzić wszystkie ruchy w mieście, wejść w kontakt z elementami mniej pewnymi i ich nazwiska donieść swym przełożonym. Jednak na tem praca jego nie ograniczała się, kazano też Kudrewiczowi obserwować niepewne żywioły i na prowincji, a nazwiska bardziej zaangażowanych obywateli w sprawę powstańczą przysyłać Chrapowickiemu.

Jednak sprawa, napozór tak prosta, zaczęła się gmatwać. Kudrewicz, młody dwudziestokilkoletni junkier Staroingermonlandzkiego

pułku piechoty, wziął się energicznie do pracy. Ale tu właśnie nastąpiło pewne odchylenie od danej mu instrukcji. Miał zlecone—śledzić akcję spiskową—on postanowił sam spisek zorganizować. Co go mogło spowodować do takiego kroku? Może lepiej będzie, gdy miast dawania gotowego wyroku, przedstawię przebieg całej sprawy, a czytelnik sam wysnuje wnioski. Jako były uczeń uniwersytetu, Kudrewicz postanowił dla swej akcji pozyskać przedewszystkiem młodzież akademicką. Niezbyt to mu szło, a mundur oficera armji rosyjskiej bynajmniej nie wzbudzał wielkiego zaufania i sprawy nie ułatwiał. Jednak „czerwony kołnierz” miał pewne swoje zalety. Roztaczał on przed słuchaczami piękny obraz wyzwolonej Ojczyzny, a postać jego: średniego wzrostu, o żywych ruchach, przy mowie rozważnej i jakby powolnej o pałających oczach — robiła wrażenie i, choć w pierwszej chwili budzić mogła pewne zastrzeżenia, to przy bliższem poznaniu nabierała cech sympatycznych.

Kudrewicz otwarcie przyznawał się, że mu przełożeni polecili śledzić poruszenia patriotów, ale on chce wykorzystać to swoje stanowisko i korzystając z szerokich uprawnień i zaufania władz, zorganizować spisek, by później w stosownej chwili poprowadzić spiskowców do arsenału, wydać im broń i wzniecić w mieście powstanie. Jednak mimo tak pięknych perspektyw praca nie posuwała się pomysłnie, miano wiele zastrzeżeń, wprost posądzano go o zdradę. Tylko wytrwałości i znacznym funduszom dyspozycyjnym zawdzięcza że zczasem udało mu się zorganizować pewien związek nie tylko z młodzieżą akademickiej, ale też i rzemieślniczej. Spisano pewne deklaracje i złożono przysięgę przed ks. Wojtkiewiczem w domu Szulca na ul. Niemieckiej. Kudrewicz doniósł władzom o istnieniu spisku, ale zamilczał, że sam stoi na jego czele, zamilczał też o złożonej przysiędze, chociaż pierwotnie zawiadomił gen.-gubernatora, że ma ona być wykonaną 14 marca. Zdziwiło to Chrapowickiego, że Kudrewicz tego dnia nie był w Wilnie, ale wyjechał na prowincję, niby dla śledzenia tam roboty spiskowej. Niemniej dziwnem wydawało się i to, że dotychczas nie dał wykazu spiskowców. To wzbudziło podejrzenie gubernatora, początkowo nie co do jawnej zdrady Kudrewicza, ale przynajmniej — znacznej jego lekkomyślności. Kazał go przeto śledzić. Z pomocą Chrapowickiemu przyszło oskarżenie trzech współtowarzyszy Kudrewicza, podporuczników wojsk rosyjskich: Wysockiego, Lenziwicza i Ruteckiego, którzy oskarżyli go o organizowanie przeciw rządowi spisku, zarówno wśród

ludności cywilnej jak i wojskowych. To był moment decydujący tem bardziej, że zbliżał się termin powstania, wyznaczonego poprzednio przez samego Kudrewicza gdzieś na 2—3 kwietnia, a on żadnych konkretnych danych o niem nie podał.

Gen.-gubernator kazał d. 26 marca aresztować Kudrewicza, a wraz z nim: podoficera Przewłockiego, porucznika wojsk polskich Baczyńskiego i szlachcica Finka-Zawiszę. Dnia 1 kwietnia donosił Chrapowicki cesarzowi Mikołajowi i Dybiczowi o wykryciu spisku i utworzeniu komisji śledczej pod prezydencją Graffa, która miała ustalić stopień ich winy. Początkowo jednak oskarżeni nie przyznawali się do niczego. Dopiero zczasem jeden przyznał się, że ich zadaniem było wzniecenie powstania w Wilnie na wzór warszawskiego. Przyznał się wtedy i Kudrewicz, że celem jego było powstanie, które miało w mieście wybuchnąć 2 kwietnia.

Gdy wina wszystkim wyżej wymienionym członkom została udowodniona przynajmniej formalnie, zostali oni 4 kwietnia oddani pod sąd wojenny, który dochodzenie swe ukończył dn. 6 kwietnia. Kudrewicza oskarżono, że wedle jego dobrowolnego zeznania, miał on wzniecić „bunt” i z tego powodu trzymał się spiskowców wbrew poleceniom, jakie na niego władza złożyła, t.j. informowania jej o postępach roboty spiskowej. On zaufania jej nadużył i sam stanął na czele spisku. Przewłockiego oskarżono o współinicjatorstwo, ułożenie sygnałów alarmowych, oraz chęć zatrucia żołnierzy, gdyż on jako magazynier miał dostęp do składów żywności. Oskarżali go o to: Rutecki, Lenziewicz, Koch i Dobrowolski. Przewłocki początkowo zaprzeczał wszystkiemu, później tłumaczył się, że nie pamięta o czemś podobnem, lecz gdy powyższe zeznania potwierdził i Kudrewicz, uznano jego winę. Również Zawiszę i Baczyńskiego oskarżono o inicjatorstwo powstania. Na tej podstawie sąd, opierając się o ustawę wojskową, wydał na oskarżonych dnia 7 kwietnia wyrok śmierci, o czym pułkownik Jukiczew zawiadomił gub. Chrapowickiego. Gubernator wyrok zatwierdził, wykonano go koło więzienia łukiskiego 8-go kwietnia o godzinie 5 rano.

Skazańcy szli na śmierć śmiało, ginęli z okrzykiem na ustach: „Niech żyje Polska”. Padli Kudrewicz, Przewłocki, Baczyński, Fink-Zawisza i Srokowski. W kilka dni później jeszcze kilka osób padło od kul moskiewskich na czele z ks. Wojtkiewiczem, który w międzyczasie został pojmany i osadzony. W kilka dni po egzekucji nadeszły pisma od Mikołaja i Dybicza, zarówno jeden jak i drugi doradzali

najsurowszą karę i wykonanie jej w ciągu 24 godzin, gdyż to da dobry przykład i innych powstrzyma od podobnych knowań. Z boku na tych spóźnionych radach widnieje notatka zrobiona ręką Chrapowickiego: „ispoolnieno” (wykonano)!

Trzej podporucznicy za doniesienie zostali mianowani porucznikami. Tak się zakończyła tragedia Kudrewicza i towarzyszy. Ich otoczono nimbem męczeństwa, jego napiętnowano stygmatem zdrady.

Tymczasem młodzież akademicka po szczęśliwym wyjściu z miasta i dostaniu się w okolice Rudnik zniknęła w lasach rudnicko-olkienickich, wnosząc ferment ożywczy w zamierające walki powstańcze, rozniecając je ponownie w bezpośredniej bliskości Wilna. Chrapowicki otrzymał raport z dnia 16 maja od Kagelskiego, dowódcy 3 rezerwowego bataljonu wileńskiego pułku piechoty, że akademicy zebrani koło Olkienik mają zamiar przejść w Lidzkie, do parafii ejszyskiej, by tam wzniecić zarzewie buntu. Prócz tego dochodziły słuchy, potwierdzone raportami gen. Otroszczeki i pułk. Werzelina, że powstanie z nową siłą ma wybuchnąć niebawem we wszystkich okolicach i zamierzona akcja ma być zakrojoną na szeroką skalę. Powstańcy, ugrupowawszy się w większe oddziały po lasach, mieli stanąć wzdłuż ważniejszych dróg, Wilno — Grodno, wykorzystać tereny bagniste Merecz — Jaszuny, by poprzerywać komunikację. Wieści te potwierdził też dowódca 6 korpusu piechoty. Zaniepokojony tem Chrapowicki rozkazał, by Kragelski, wziawszy 120 ludzi, wyruszył z Merecza przeciw akademikom. Współdziałać z nim miał dowódca 10 pułku strzelców, idąc ku Olkienikom od strony Lidy z bataljonem piechoty. Z temi rozkazami Chrapowickiego został specjalnie wysłany do Lidy kapt. lejbguardji von Ekkener, który po przybyciu na miejsce, miał również ruszyć na czele 100 kozaków 2-go teptiarskiego pułku przez Raduń, Dubicze do Merecza, by wesprzeć pułk. Kragelskiego. Chrapowicki spodziewał się, że tak skomplikowany atak da skutki. Zależało mu na oczyszczeniu tego traktu, gdyż komunikacja na nim nie była już bezpieczną, bo adjutant jego osobisty Puciata został pod Rudnikami zaatakowany przez akademików i musiał ze stratą cofnąć się do Wilna. Dla zabezpieczenia więc traktu lidzkiego kazał Chrapowicki wysłać Otroszczence 2 rotę 11 pułku piechoty do Wielkich Solecznik. Tak zabezpieczony oczekiwał teraz wieści od Kragelskiego. Ten zbliżywszy się pod Olkieniki dnia 20 maja koło uroczyska „Długa Wyspa” miał utarczki z akademikami, a choć zostali oni wyparci z tej pozycji, to bynajmniej nie rozbici. Potrafili nawet

ścigającą ich 7 rotę muszkieterską pod Ozierańcami w dniu 23 maja rozbić. Legł wtedy na polu dowódca jej sztabs-kapitan Widyński i wielu innych, choć i powstańcy mieli znaczne straty. Jednak akademicy przekonali się, że sami są za słabi i postanowili po połączeniu się z innymi powstańcami ruszyć na Hanuszyszki do Matuszewicza, który stał koło Barbaryszek. Dowiedziawszy się o tem, Chrapowicki postanowił za jednym zamachem oczyścić powiat trocki od powstańców i rozkazał dnia 25 maja Kragelskiemu, by z bataljonem strzelców ścigał ich od strony Hanuszyszek. Z Wilna wysłał Sewastjanowa z 2 rotami piechoty z 120 kozakami i 2 działami. Miał on iść przez Troki i stanąć koło Sumieliszek. Od północy dla zamknięcia drogi, wyruszył przez Jewję z 230 kozakami, 2 rotami strzelców i 2 armatami Werzelin. Miał on posuwać się między Wilją a Trokami, przeprawę przez Wilję miał zamknąć ks. Chiłkow.

Mając taką przewagę liczebną i odpowiednie rozplanowanie wojska, Sewastjanow wyznaczył ze spokojem początek ataku na g. 10 rano d. 27 maja. Wprawdzie potyczka koło Malimaniec z Werzelinem ostrzegła główny oddział Matuszewicza, stojący koło Barbaryszek, o grożącym niebezpieczeństwie, jednak na cofanie się było już za późno. Przyszło do krwawej bitwy. Powstańcy Matuszewicza uciekli w lasy, zostawiając cały ciężar walki akademikom. Walczyli oni dzielnie, a choć opieszałość ks. Chiłkowa pozostawiała im wolną drogę odwrotu za Wilję, niewielu z niej miało skorzystać. Większość legła na polu walki, około 200 młodych ciał stało się barykadą, która powstrzymała dalszy pościg, pozwalając powstańcom Matuszewicza swobodnie się cofnąć i zorganizować w lasach jasudańskich. Odtąd resztki akademików dzieliły losy powstańców Matuszewicza, aż do chwili, gdy połączyły się z Chłapowskim, by wspólnie walczyć aż do ostatnich chwil bytności wojsk regularnych na terenie Litwy.

Czynem, na który się zdobył Komitet wileński, była próba zorganizowania koncentrycznego ataku na Wilno sił powstańczych, otaczających miasto. Wysłani w tym celu emisariusze Komitetu udali się w połowie kwietnia na północ, by tę akcję zorganizować.

Początkowo wysuwano na naczelnego wodza Goreckiego. Gdy ten odmówił, wysunięto Karola hr. Załuskiego dowódcę powiatu upickiego. Ten po pewnych wahaniach przyjął powierzoną godność i dnia 15 kwietnia udał się do Wiłkomierza, by ustalić ostatecznie szczegóły ataku z wysłannikami Komitetu Wileńskiego.

Załuski nie chcąc brać na siebie całkowitej odpowiedzialności za akcję, w której rezultat nie wierzył, powołał radę przyboczną, złożoną z wysłanników komitetu wileńskiego i niektórych komitetów powiatowych. Dnia 16 kwietnia rozesłano rozkazy do powiatów, by siły ich zbliżały się ku Wilnu na wyznaczone pozycje dla wzięcia udziału we wspólnej akcji i tak: Wileńczanie mieli się zgrupować w okolicach Mejszagoły, siła zbrojna Zawilejczan strzedz frontu z Widz i ugrupować się koło Niemenczyna, od południo-wschodu mieli się zbliżać Oszmiańczanie i Wilejczanie, pas zachodni miał być strzeżony przez siły powiatów trockiego, upickiego i kowieńskiego.

Załuski spodziewał się w ten sposób zgromadzić koło Wilna kilkanaście tysięcy ludzi i, o ile nie da się zdobyć Wilno od pierwszego natarcia, to męczyć garnizon ciągłymi potyczkami. Wskazywać na to zdawało się rozporządzenie o zaopatrzenie w żywność poszczególnych oddziałów na 15 dni.

Dnia 17 kwietnia Załuski z oddziałami trockimi i upickimi przeprawił się przez Wilję koło Czabiszek i podsunął się pod wieś Kowgany. Siły jego wynosiły 700 strzelców i przeszło 2000 kosynjerów oraz 140 kawalerji. Na wieść o tem gen.-gubernator Chrapowicki postanowił inicjatywę wziąć w swe ręce i uderzyć na Załuskiego nim inne oddziały powiatowe przybędą na wyznaczone im miejsca. Dnia 18 kwietnia wysłał więc pułk. Werzelina z 300 kozakami i 2 działami, by ten zaskoczył powstańców i rozbił ich lub odparł za Wilję. Plan ten nie powiódł się, gdyż powstańcy od pojmanego szpiega dowiedzieli się o wszystkim i zdążyli odpowiednio się przygotować. Po północy 20 kwietnia oddziały oczekiwały ataku, jednak czas upływał spokojnie. Dopiero o świcie dowiedziano się, że wróg zatrzymał się w pobliskim majątku Owsianiszkach, należących do Matuszewicza i że, przekonawszy się o sile powstańców, raczej ma zamiar wycofać się na Troki, niż atakować ich. Wtedy powstał projekt, by samym zaatakować Rosjan i w miarę możliwości wciągnąć ich w zasadzkę. Plan przedstawiał się następująco: strzelcy i kosynjerzy mieli siedzieć ukryci na skraju lasu nad drogą, kawalerja zaś, podzielona na dwa oddziały, zaskoczyć w porze obiadowej kozaków w Owsianiszkach.

Gdyby zaskoczenie nie powiodło się, to starać się kozaków naprowadzić na ukrytych strzelców. Przewidywania powstańców spełniły się tylko częściowo. Dwór, położony wśród pól, nie nadawał się do zaskoczenia. Kozacy w czas się zorjentowali i zaczęli uchodzić. Kawalerja powstańcza, zapalona tak łatwym sukcesem, rzuciła się w pogoń, ale wpadła pod ogień kartaczowy dwu armat rosyjskich

i sama teraz musiała uchodzić, zostawiając na polu kilkunastu zabitych i rannych. Tenże sam błąd zemścił się obecnie i na kozakach. Goniąc uchodzących powstańców, wpadli oni na strzelców Billewicza, który, przywitawszy ich zbliżka celnym ogniem, zmieszał i do odwrotu zmusił. Powstrzymali oni też później nacierające tyraljery rosyjskie. Dopiero mrok wieczorny ściągnął walczących z oświeconego łuną pożaru, pobojowiska. To płonął majątek rodzinny Matuszewicza, podpalony przez cofających się Rosjan. Werzelin, poniosłszy znaczne straty, a przekonawszy się o znacznych siłach powstańców, postanowił zawrócić do Wilna. Powstańcy nie ruszyli za nim. Załuski postanowił czekać na resztę oddziałów w Kowganach. Jakoż istotnie w dniach 22 i 23 kwietnia zaczęły one nadciągać, ale zarazem nadeszły smutne wieści o rzezi oszmiańskiej i niepowodzeniach w Upickiem, gdzie się zbliżał gen. Szirman. Te wieści skłoniły radę wojenną w Kowganach do zaniechania dalszego wspólnego wysiłku o zdobycie Wilna.

Postanowiono wracać na pomoc swym powiatom, a choć były wprawdzie i inne głosy, wskazujące, że z tak znaczną siłą można wiele zrobić, że można liczyć na patriotyzm rzemieślników i młodzieży wileńskiej, nie usłuchano tego, odkładając wykonanie tego planu do pomyslniejszych chwil.

Na tem się skończyła cała akcja zakrojona na szeroką skalę, a sprowadzająca się do potyczki bez większego znaczenia.

Książę Chiłkow szybkimi marszami z Nura na Grodno dążył do Wilna. Przeszedłszy w ciągu 12 dni 300 km., stanął 19 kwietnia w Wilnie. Reszta wojska jego miała za nim nadążyć w kilka dni. Doczekawszy się nadążających za nim wojsk, ks. Chiłkow dnia 28 kwietnia wyruszył z Wilna, by oczyścić od powstańców miejscowości, położone na północ od miasta, i zgnieść powstanie święciańskie.

Siły jego były już same przez się przewyższające powstańców, a oprócz tego współdziałać z nim mieli Werzelin i gen. Otroszchenko; ten ostatni miał przeciąć drogę powstańcom do gubernji mińskiej, gdyby ci mieli zamiar tam się cofnąć. Początkowo marsz odbywał się w spokoju, małe oddziały powstańcze usuwały się z drogi. Do pierwszych starć przyszło dopiero o 7 km. za Mejszagołą koło karczmy Jegłówki, gdzie niewielki oddział powstańców, nie zorientowawszy się w sile przeciwnika, chciał stawić czoła, ale zobaczywszy dalsze kolumny Chiłkowa, pośpiesznie się cofnął w stronę Szyrwint. Książę kazał przyspieszyć marszu, by uchodzących doścignąć. Dotarto tak bez większych przeszkód aż do Lipówki. Okolica lesista, sama przez

się była dogodna do obrony, a sztucznie porobione zasieki jeszcze bardziej czyniły ją obronną. W tych to zasiekach Jeśmian umieścił swych celnych strzelców, a wolne przejścia Horodeński zajął kawalerją. Zgórą 1000 pieszych i 300 konnych powstańców postanowiło bronić dostępu do swych stron rodzinnych. Rozpoczęła się nierówna walka, ale niemniej zawzięta i krwawa. Nie pomogła Chiłkowowi silna artylerja, gdyż kartacze nie czyniły ukrytym w lesie strzelcom wielkich szkód, przeciwnie, strzelcy celnymi strzałami wyrządzili Rosjanom znaczne straty. Po kilkugodzinnej daremnej strzelaninie, Chiłkow, kazał iść pułkowi strzelców na bagnety, a ułani jego natarli na jazdę powstańców. Uderzenia tego powstańcy nie wytrzymali. Horodeński pośpiesznie się cofnął w stronę Wiłkomierza, Jeśman zboczył z drogi i ukrył się w lasach, reszta poszła w stronę Niemenczyna. Straty z obu stron były znaczne. Zniechęciło to Chiłkova do dalszego marszu na Wiłkomierz, a gdy otrzymał wieść, że podobno Wiłkomierz jest już zajęty przez wojska rosyjskie, zwrócił się wprost na wschód. Tegoż dnia dotarł do Szyrwint. Tu spędził noc i nazajutrz t. j. 29 kwietnia ruszył do Giedrojć. Nie była to łatwa droga. Trzeba było walczyć ciężko znów o wolny wstęp do Giedrojć, gdyż przy zbliżaniu się do miasteczka został powitany salwą powstańców, ukrytych w domach. Książę chciał uniknąć ciężkiej walki; myślał on drogą dyplomatyczną uzyskać od powstańców wolny wstęp do miasta, obiecując wzamian, że nikt z nich nie będzie prześladowany. Z tą propozycją wysłał oficera. Gdy misja jego się nie powiodła, a ogień powstańców poczynił pewne straty wśród wojska, Chiłkow kazał dowódcy 12 pułku strzelców, Sachinowskiemu, z 2 rotami piechoty natrzeć bagnetem, a do współdziałania posłał kozaków. Powstańcy ataku nie wytrzymali, cofnęli się. Chiłkow zajął miasto. Straty były znaczne. Ludność doznała skutków zwycięstwa. Za uchodzącymi w stronę Niemenczyna powstańcami wysłał zwycięzca przez Podbrodzie silny oddział, by zniszczyć Parczewskiego. Równocześnie ruszyły księciu na pomoc oddziały z Wilna i Oszmiańskiego pod Bolcentalem. Chiłkow sam, nie czekając na wynik tej ekspedycji, śpiesznie ruszył na Malaty.

Powstanie zostało w tych okolicach rozbite. Odżyć miało dopiero w chwili przybycia regularnych wojsk polskich, by raz jeszcze rozniecić zarzewie walki o wolność i podsunąć się prawie pod same miasto od strony Zielonego Mostu wraz z oddziałami regularnemi Dembińskiego wtedy, gdy siły główne polskie zbliżały się pod Ponary.

Zadaniem regularnych wojsk polskich na Litwie, o ile nie głównem, to w każdym bądź razie jednym z ważniejszych, było opanowanie Wilna. Zdawało się, iż rzecz ta jest tak prosta i oczywista nawet dla każdego laika, że nie potrzebuje komentarzy. Rzeczą przecież zrozumiałą było, że trudniej o to się było kusić powstańcom litewskim, nie mającym ani artylerji, ani odpowiedniego wyszkolenia bojowego, niż wojskom regularnym. Jednak pokusili się o dokonanie tego czynu w dn. 17—19 kwietnia i jedynie brak odpowiedniego dowództwa naczelnego unicestwił cały ten plan. Każdy mógł spodziewać się, że błąd taki nie powtórzy się, gdyż na czele wyprawy regularnych wojsk polskich na Litwę stali wysokich rang zawodowi wojskowi. A jednak inaczej się stało.

Wódz naczelny wyprawy litewskiej Giełgud, jakgdyby nie doceniał znaczenia opanowania Wilna, zarówno pod względem strategicznym jak i moralnym. Miał wprost z pod Rajgradu — po świeżo odniesionem, choć nie wyzyskanem zwycięstwie — maszerować na Wilno i zadać cios stanowczy kilkakroć w tych czasach słabszej i zdemoralizowanej załozce wileńskiej, Giełgud zawrócił raptem na lewo i pod Giełgudyszkami przekroczył Niemen, maszerując w stronę Żmudzi. Jednak pod wpływem raportów generała Chłapowskiego o faktycznej sile i duchu panującym w wileńskiej załozce rosyjskiej, oraz o nastrojach mieszkańców miasta, powstrzymał ten pęd ku północy. I wtedy nie zdecydowano się na bezpośredni marsz na Wilno.

Na radzie wojennej z dnia 8-go czerwca postanowiono zająć stanowisko pośrednie, ugrupować wojska między Janowem, Witłomierzem a Kiejdanami, by przeciąć komunikację ze Żmudzią, a w razie konieczności w krótkim czasie móc skoncentrować większość sił pod Wilnem. Lecz była to prawie ostatnia celowa decyzja. Odtąd rozpoczyna się jakieś dziwne, a niezrozumiałe rozdrabnianie sił własnych, jakgdyby za dużo ich było. Rozkazy prawie co dnia były zmieniane; to wysyłało się Szymanowskiego na Żmudź z oddziałem znacznym, ale za słabym jak na samodzielną akcję, to znów Dembińskiemu nakazywano jakieś demonstracyjne marsze raz od strony Mejszagoły, to znów od Niemenczyna i to właśnie na czas, kiedy pod Ponarami miały się decydować losy nie tylko wojsk regularnych, ale wogóle losy powstania na Litwie.

Na takich to właśnie środkach i półśrodkach, marszach i kontrmarszach schodził drogi i niepowrotny czas. Rosjanie dziwili się

mocno, że ich pozostawiają w spokoju, i wykorzystywali tę okoliczność w tym celu, by grupować w Wilnie wojska. I tak kolejno przybyli: pierwszy gen. Sulimā, dnia 9 czerwca ks. Chilkow, wreszcie Saken; tak, iż już dnia 14 czerwca Rosjanie mieli do 16 tysięcy ludzi i znaczną artylerję. Jednak biorąc pod uwagę, że musieliby zostawić znaczną załogę w mieście dla utrzymania w posłuszeństwie niepewnej ludności miasta, to można uważać, że ta chwila jeszcze się nadawała do ataku na Wilno. Niestety Giełgud jakgdyby umyślnie czekał przybycia do Wilna Otroszczenki i Kuruty, co wzmocniło załogę rosyjską do 24 tysięcy ludzi i przeszło 70 dział.

Dopiero teraz pod wpływem fermentu niezadowolenia w korpusie oficerskim Giełgud zdecydował się na marsz na Wilno, a choć mu teraz odradzali dawniejsi rzecznicy tej myśli, gen. Chłapowski i szef jego własnego sztabu, pułkownik Valentin d'Hauterive, to jednak uparł się i postawił na swoim.

Atak został wyznaczony na 19-go czerwca. Atak główny miał być przeprowadzony od południo-zachodu, od strony wzgórz Ponarskich, Dembiński zaś miał demonstrować od strony mostu Zielonego. Cały ten plan nie był łatwy do wykonania, choćby z tego względu, że Rosjanie nie zmarnowali tych kilku dni czasu. Zbocza wyżyn ponarskich starali się oni wzmocnić nasypami i dogodnym rozmieszczeniem bateryj. Mimo tak korzystnego położenia, wojska rosyjskie zajęły raczej pozycję obronną i wyczekującą, a duch wśród ich dowództwa nie był najlepszy. Zatem powodzenie w dużej mierze zależało od przeciwnika i jego inicjatywy, ale niestety, inicjatywa Giełguda wyczerpała się na nakazaniu marszu na Wilno. W decydującej chwili zabrakło mu szerszego poglądu na plan sytuacyjny, a nieobecność Dembińskiego jeszcze bardziej osłabiła jego siły.

W ogólnych zarysach plan bitwy ponarskiej i jej przebieg przedstawiał się następująco: punktem centralnym było zlanie się trzech traktów kowieńskiego, trockiego i grodzieńskiego pod kapliczką, przechodzących następnie w wąski parów: drogę odwrotu do Wilna. Punkt ten był odpowiednio umocniony dwiema baterjami, umieszczonymi jedna ponad drugą pod osłoną 8 bataljonów piechoty i 5 szwadronów kawalerji. Skrzydło prawe wzmocnione warunkami naturalnymi było obsadzone przez silne oddziały Kuruty, lewe słabsze, ale osłonięte szancami.

W oddziałach walczących przeciw tej pozycji przeciwnika u nas nie było prawie żadnego planu ani faktycznego dowództwa. Bitwę

prowadzili raczej poszczególni dowódcy samodzielnie, a nawet artylerja Piątki jakoś w tej bitwie zawiodła.

O godzinie 9 rano rozpoczęło się natarcie 7 pułku piechoty na centrum pozycji moskiewskich, lecz nie otrzymawszy należytego poparcia musiał się pułk ten cofnąć, a całe centrum nasze, prażone skoncentrowanym ogniem armatnim, zmieszane odsunęło się ku lewemu skrzydłu, rozrywając łączność. Nie powiodł się też ani atak Zaliwskiego na skrzydle prawem, ani uwieńczony początkowo powodzeniem atak piechoty pod gen. Rolandem na skrzydle lewem. Ostrzeliwani krzyżowym ogniem, a nie otrzymując wsparcia, musieli się atakujący cofać ze znacznymi stratami.

Po tych niepowodzeniach Giełgud nakazał ogólny odwrót, chociaż jeszcze nie były wyzyskane wszystkie możliwości, a chwilowy nieład w piechocie dałoby się usunąć przy odpowiednio sprężystym dowództwie. Potwierdza to samo zachowanie się Rosjan, którzy mając 35 szwadronów kawalerji, niezaangażowanej w bitwie, mogli rzucić się w pogoń i spowodować klęskę. Nie uczynili tego, gdyż trudno im było uwierzyć w to, że bitwa już się skończyła i wróg się cofa. Gdy zorjentowali się w faktycznym stanie rzeczy, było już za późno, a przeprowadzone natarcie kawalerji było miękkie; odparował je w zupełności 1 pułk ułanów pod Chłapowskim, osłaniającym odwrót. Tak się skończyła bitwa ponarska.

Zdawało się, że kres powstania na Litwie nadszedł nieodwołalnie już dnia 19 czerwca, gdy szeregi polskie skrwawione i zdeorganizowane cofały się ze zboczy Ponarskich. Kres ten niewątpliwie byłby nastąpił, gdyby dowództwo rosyjskie rzuciło w pościg za uchodzącym wojskiem polskim znaczniejszy oddział kawalerji. Stać je na to było, bo wszak w obwodzie miało 35 szwadronów kawalerji. Klęska byłaby wtedy dokonana ostatecznie. Jednak tego nie uczyniło. Czy nie zdawało sobie sprawy z doniosłości odniesionego zwycięstwa, czy może dotychczasowa chwała, opromieniająca oręż polski, odebrała mu ufność w siebie — dość tego, że dopiero w pół godziny po odwrocie wojsk Giełguda wysłano pościg. Był to przedewszystkiem pościg już częściowo spóźniony, bo Chłapowski zdołał zorganizować straż tylną, a po drugie, przeprowadzony był on nieudolnie i zbyt szczupłymi siłami. Użyto do tego trzy pułki kawalerji, ale i te nie nacierały razem, a pojedynczo, tak że bez większego wysiłku zdołał je odeprzeć 1 pułk ułanów, zamykający pochód wojsk polskich.

Udało się wojskom polskim wywinąć z tej przykrej sytuacji,

ale położenie pozostawało i nadal groźne. Tylko szybka a celowa decyzja mogła jeszcze zapewnić pewne widoki powodzenia. Pozostawały dwa wyjścia, albo poświęcić oddział Dembińskiego znajdujący się za Wilją, a z większością sił ruszyć na Grodno i później dalej przebijać się do granic Królestwa, albo pozostać na Litwie i wojsko rozdzielić na pomniejsze oddziały, zająć wszystkie ważniejsze szlaki komunikacyjne i prowadzić zawziętą partyzantkę. Jak jeden plan tak i drugi przy sprężystym wykonaniu miał widoki powodzenia i oddałby był znaczne usługi sprawie powstania. Niestety, nie przyszło do wykonania ani jednego, ani drugiego, chociaż właśnie z takim konkretnym planem podziału wojska na partje wystąpił był generał Chłapowski. Giełgud jednak postanowił się cofnąć poza Wilję, zając obronną pozycję między Wilją, Świętą a Niewiażą, zreorganizować tu wojsko i czekać wsparcia w ludziach jak i w amunicji od Żmudzi. Następnym etapem miało być opanowanie Połagi. Decyzja taka była zgubną dla Giełguda, przedewszystkiem dlatego, że kordonowa linja obronna nad Wilją była zbyt słaba, by jej nie przełamali Rosjanie mimo obronności pozycji. Świadczą o tem dobitnie słowa Dembińskiego, który jej miał bronić... „linję mi powierzoną uważam o tyle tylko za możliwą do utrzymania, o ile nieprzyjacielowi nie będzie się podobało jej przełamać“. Powtórne wojsko polskie było wciśnięte między granicę Kurlandji a Prus, od południo-zachodu zaś były wojska rosyjskie.

Jednak Giełgud i przy tym planie nie pozostał długo. Cofnął się ku Kiejdanom, później znów ruszył ku Rosieniom. Czas schodził na marszach i kontrmarszach i małych utarczkach z drobniejszymi załogami rosyjskimi. Było to możliwe jedynie dlatego, że Rosjanie od bitwy Ponarskiej pozostali w dziwnym bezruchu. Mimo znacznej przewagi liczebnej, marszałek Tołstoj trzymał całe wojsko w Wilnie i okolicy aż do dnia 26 czerwca, straciwszy zupełny kontakt z nieprzyjacielem i nie orientując się zupełnie w jego ruchach i zamiarach. Wreszcie Tołstoj rozkazał przejść swym wojskom, podzielonym na pięć kolumn, do akcji zaczepnej. Trzy silniejsze ruszyły południowym brzegiem Wilji, dwa pozostałe miały atakować Giełguda od strony Wilkomierza.

Tę sytuację chciał wykorzystać Chłapowski i zaatakować kolumnę kowieńską, która oddzieliła się znacznie od pozostałych i wysunęła się naprzód. W razie powodzenia plan ten miał tę dogodność,

że otwierał drogę do Augustowskiego i dalej ku granicom Królestwa. Jednak został on udaremniony wskutek uporu Dembińskiego. Sytuacja stawała się tem trudniejsza, że dnia 2 lipca linja Dembińskiego została z łatwością, jak to było do przewidzenia, przerwana i całe wojsko polskie w pośpiechu cofało się na Cytowiany i Poniewież.

Chłapowski raz jeszcze powziął inicjatywę: zaproponował natarcie na centrum zacieśniającego się półkola, przerwanie linii nieprzyjacielskiej, dla zdobycia większej swobody ruchów. Plan, w zasadzie przyjęty, został sparaliżowany niepotrzebnem zdobywaniem Szawel, które przeprowadzone nieudolnie i właściwie bez kierownictwa ogólnego, wykazało jedynie bohaterstwo regularnych żołnierzy, jak i nadzwyczajne poświęcenie oddziałów powstańczych, ale w rezultacie zakończyło się niepowodzeniem i demoralizacją wojska. To też w Kurszanach, dokąd cofnięto się z pod Szawel, zwołana rada wojenna na dzień 9 lipca była burzliwa i groźna. Decydowały się tu dalsze losy nie tylko wojska polskiego, ale wogóle powstania na Litwie. Giełgud przedstawił trudną sytuację i zażądał opinii, co dalej robić. Miał odpowiedzi na pytanie, spotkał się z krytyką swych działań i wogóle z zarzutem nieudolności, szczególnie ostro nacierał Dembiński. Giełgud nie pozostał dłużny, odpowiadając, że warcholstwo Dembińskiego i jego niesubordynacja były przyczyną rozlicznych klęsk. Tak na wzajemnych utarczkach słownych schodził czas. Dopiero gen. Szymanowski zwrócił uwagę, że Rada odbiega od postawionego jej celu.

Giełgud postawił konkretne zapytanie: czy Rada wypowie się za działaniem zjednoczonymi oddziałami, czy też będzie za podziałem?

Równa ilość głosów była zarówno za podziałem, jak i contra. Decydującym był głos Giełguda, który wypowiedział się za podziałem wojsk.

Postanowiono wojsko podzielić na 3 kolumny, każda mniej więcej w sile po 4 tysiące ludzi. Roland wraz z Giełgudem mieli ruszyć ku Połędze, Chłapowski miał ominąć lewe skrzydło rosyjskie i dążyć w Trockie, Dembiński zaś miał iść ku wschodowi.

Położenie było trudne, bo trzydziestotysięczna armja rosyjska zagrażała zwartem półkolem drogę od południo-zachodu aż po północno-wschód. Jednak pewne szanse powodzenia były. Liczono, że uwagę wroga odciągnie Roland, a pozostałym oddziałom uda się wymknąć poza skrzydła wojsk moskiewskich. Chłapowski nawet odskoczył

dnia 10 lipca do Worń, kierując się na Kroże, lecz tu do niego powrócił Giełgud, oświadczając, że i Roland za nim idzie. To zadecydowało o losach tych oddziałów. Rosjanie odkryli istotny kierunek wojsk polskich. Zamknąć dalszą drogę na południe nie przedstawiało dla nich żadnej trudności. Równocześnie od północy naciskał Schirman. Nie było wyjścia. Zwołana rada wojenna zadecydowała przejść granicę pruską. Przy jej przekraczaniu zginął gen. Giełgud, ugodzony kulą przez oficera Skulskiego dnia 13 lipca. Roland utrzymał się dwa dni dłużej, lecz, otoczony przeważającymi siłami, musiał iść w ślad Chłapowskiego.

Inaczej losy pokierowały grupą Dembińskiego. Rosjanie nie spodziewali się, by jeszcze jakiś oddział znajdował się na ich prawem skrzydle. Ta nieuwaga i późniejsze błędy dowództwa rosyjskiego z jednej strony, z drugiej zaś wytrwałość wojska, niezłomna, a szybka decyzja Dembińskiego, jego hart woli doprowadziły do tego, że oddział jego mógł się znaleźć pod murami Warszawy.

Był to kres jego ciężkiej i długiej wędrówki. Był to zarazem kres marzeń o wolności Litwy, kres jej bohaterskich, a tak mało znanych walk o wspólną wolność Ojczyzny.

Litwa, pozbawiona wojsk regularnych, a wyczerpana z zasobów zarówno materialnych, jak i moralnych, nie mogła dłużej prowadzić walki z takim natężeniem jak dotychczas. Znekana tyloma niepowodzeniami ludność chłopska nie garnęła się już do szeregów powstańczych, a i one coraz bardziej słabły. Pozbawione najtęższych elementów, które wstąpiły do szeregów wojsk regularnych — oddziały powstańcze coraz beznadziejniejszą toczyły walkę po ostępach leśnych.

Zniszczenie wojsk polskich na Litwie było ciężkim ciosem i dla walk w Królestwie. Wyswabadzały się dziesiątki tysięcy szabel i bagnatów rosyjskich, uwięzionych dotychczas na Litwie. Szły one teraz ku granicom Królestwa, by wzmocniwszy szeregi armji Paskiewicza zadać cios decydujący.

**Pieśń Emigrantów wileńskich na nutę:
„Precz, precz smutek wszelki”.**

- | | |
|--|---|
| 1. Dosyć bracia w kącie siedzieć,
Nic nie widzieć, nic nie wiedzieć,
Zaśpiewajmy, pożegnajmy
Jagiellonów gród. | 2. Dalej w pole krokiem śmiałym,
Łączyć Pogoń z Orłem Białym,
A przed niemi z naszej ziemi
Pierzchnie podły ród. |
| 3. Już mu Wisła nie hołduje,
Już mu Niemen grób gotuje
Reszta zginie w bystrej Dzwinię
Gdzie brzmi Litwy śpiew. | 4. Lecz za klęski nam zadane
Przypomnijmy mu Oszmianę —
Biednych matek drobnych dziełek
Przelewaną krew. |
| 5. Ku nam ciągnie nasz Umiński,
Matuszewicz i Ogiński,
Których dłoni, dzielnej broni
Doznał wściekły wróg. | 6. Spiesz się więc Giedymina plemię,
Oswobodzić przodków ziemię,
Bij Moskala poganina,
Bo dziś z nami Bóg. |
| 7. Niechaj gnuśny bruki zbija,
Zjada cukry, winko spija,
Jemu wzgarda, nam stal twarda
I marszowy znój. | 8. Żegnaj mi Litwinko miła,
Dla mnie wieńce lub mogiła,
Choć nie wróci nie zasmuci,
Narzeczony twój. |



Not

Z opracowań ogólnych, wschodnich Rz-tej, wymienić „Wojna polsko-rosyjska 1830 i 18.

dla dokładniejszego zorientowania w toku wydarzeń, szczególnie militarnych tych dwu lat. Może mniej ma znaczenia dla Litwy, szczególnie dla okresu pierwszego do przybycia wojsk regularnych.

Jakgdyby uzupełnieniem pierwszego są 4 tomy Barzykowskiego „Historja powstania listopadowego” (Poznań 1884 r.). Podmalowane tu jest dobrze tło polityczne, więcej też uwagi poświęcono wydarzeniom na terenie b. W. Ks. Lit. Praca Puzyrewskiego „Polsko-ruską wojna 1831 g.” Petersburg 1891 r. charakterem swym jest zbliżona do pracy prof. Tokarza, tylko ze względów zrozumiałych ma inne naświetlenie wydarzeń, choć odznacza się dużym obiektywizmem.

Z nowszych opracowań specjalnych należy wymienić prace:

E. W. Szczerbickiego „Rok 1831 w powiecie Oszmiańskim” Wilno 1926/27.

K. Bieliński „Rok 1831 w powiecie Zawilejskim (Święciańskim)” Wilno 1930.

S. Rabinowiczówna „Wilno w powstaniu roku 1830/31” Wilno 1932 r., jednak należy korzystać z tej pracy łącznie z recenzją E. Gulczyńskiego drukowaną w Alma Mater Vilnensis Zeszyt 11, rok 1933, str. 65—86 oraz w pewnym stopniu można korzystać z pracy:

O. Hedemann’a „Historja powiatu Braślawskiego” Wilno 1930 r.

Ze źródeł drukowanych wysuwają się na czoło:

Bronikowski Ks. „Pamiętniki polskie” t. 4 Paryż 1844—45.

Wrotnowski Fr. „Zbiór pamiętników o powstaniu Litwy 1831 r.” układany przez... Paryż 1835 r.

Wrotnowski Fr. „Pamiętniki o powstaniu Litwy i Ziem Polskich 1831 r.”, Paryż 1833 r.

Domejko I. „Pierwsze dni kwietnia 1831 r. na Litwie” Poznań 1880 r.

Chłapowski I. D. „Pamiętniki” Poznań 1899 r.

Demiński H. „Pamiętniki o powstaniu w Polsce w 1830—31 r.” t. 2, Kraków 1875 r.

Rayski „Zbiór pamiętników do historii powstania polskiego 1830—31 r.”, Lwów 1832 r.

Dokładniejszy wykaz źródeł drukowanych jak też i opracowań czytelnik może znaleźć w pracach wyżej wzmiankowanych.

E. W. Szczerbickiego na str. 49—60, jak również

K. Bielińskiego na str. 107—109.